№ 1 WARSZAWA d. 22 Grudnia (3 Stycznia) ROKU 1874



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie, Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Zabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PIOSNKA SZALEŃCA.

Ej! dalej!
Poszalej
Aniele mój!
Rzuć dawne wspomnienia,
Łzy, modły, marzenia,
Zmień duszę jak strój!

Wdziej szatę lorety,
Na głowę szyldkrety
Lub różne włóż sztuczne owoce;
Kokardy, korony
Powpinaj na strony,
Ja sam ci paluszki ozłocę.

Miej myśli motyle
Zmień życie w snu chwilę,
W paproci kwiat;
Ja podam ci rękę,
Zanucę piosenkę
I pójdziem w świat.

Pamiętaj, wesoło
Wznieść czelne twe czoło
Gdy zaczniem tan,
Wśród dzikich manowców,
Wśród mogił, grobowców
Gdzie wieczór dan.

Nie powiesz nikomu,
Wrócimy do domu
Na jakim być chciałaś festynie,
I ile krzyżyków
Korkami bucików,
Złamałaś w cmentarnej dolinie.

Lecz słuchaj piosenki...
Ton cichy i miękki
Twych nerwów żelaznych nie wzruszy,
A przytem my znamy,
Że piosnka to ramy,
Nie obraz podobny do duszy.

— Miej złoto, patrz w złoto
I tylko żyj po to
By użyć zebrane pieniądze,
Jak wielu
Bez celu,
Na próżne fantazje i żądze.

— Miej złoto, patrz w złoto,
O! złota istoto,
Świat czołem przed tobą uderzy,
I wszędzie
Czcić będzie,
Bo w cielca złotego znów wierzy.

— Miej złoto, patrz w złoto,
Lecz gardź tych głupotą,
Co ciebie namaszczą boginią,
Umarli
I karli,
Choć wiedzą-nie wiedzą co czynią.

— Miej złoto, patrz w złoto;
To mędrców dziś cnotą,
A jaką? wypowiem w szczerości:
Że za nie
Są tanie
Mogiły dla twojej przyszłości.

Ej! dalej!
Poszalej
Aniele mój!
Bez serca, bez wiary,
Bez ducha ofiary
Nić życia snój.

Jak wielu
Bez celu
Nad grobem stój!

Oszalał świat Boży—
Chce gwałtem obroży,
Będzie ją miał;
Lecz mnie i ciebie
Zrodzonych w niebie,
Niech zbawi szał!

Laskarys.

LALKI

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

To mówiąc hr. Roman dobył bardzo pięknego pugilaresu z bocznej kieszeni, otworzył go i wyjąwszy zeń list wstał by ojcu doręczyć.

Chorąży siedział właśnie przy stoliku, na którym były dwie świece; w milczeniu więc otworzył zaraz kopertę i na list rzucił okiem. Nie śmiejąc przystąpić, żona starała się po twarzy męża odgadnąć co mógł by list zawierać. Rysy jednak czytającego nie dozwoliły się nic domyślać, po chwili przebiegłszy pismo złożył je nie mówiąc słowa i schował do kieszeni.

Pani Chorążyna zawahała się z zapytaniem, przemogła ciekawość.

- Cóż pisze? wyrwało się jéj w końcu.

—- Pomówimy o tem później — i zerwał się Chorąży.

— Ale to prawdziwe nieszczęście ta choroba hrabiego, wtrąciła żywo matka nie chcąc okazać po sobie ile ją lakoniczna odpowiedź męża obeszła — pewnie ci kazał powracać prędko.....bywasz u nas tak rzadko, nawet się tobą nacieszyć nie można...

— Ani go poznać, co gorzej! dorzucił Chorąży.

— Powrót mój, jąkając się wtrącił syn, ma zależeć od rozkazu ojca...

Spojrzenie badawcze matki nic nie potrafiło dobyć z zachmurzonego Chorążego, który westchnąwszy podparł się na ręku i zadumał głęboko. Skorzystała tylko z tego matka, po cichu poufalszą z synem rozpoczynając rozmowę.

—Przygotowałam ci najlepszy pokój, mój Romanku szepnęła całując go w głowę i przyciskając ją do serca. Kazałam ogień napalić na kominie.

Ty nawykłeś do tylu wygódek, o których my wyobrażenia nie mamy, sama niewiem jakby ci dogodzić.

— A! tu mi zawsze dobrze będzie! cicho całując w ręce matkę odezwał się syn.

— A tam? wszak i tam jest... musi ci być dobrze, kochany Romanie...

— Ale mnie dotąd wszędzie było i jest dobrze, kochana mamo —rzekł chłopak rumieniąc się...

Rozmowa przeszła w szept cichy, a Chorąży jakby przebudzony nagle wstał i pod jakimś pozorem, zwolna się wysunął z pokoju...

Naówczas namiętnie schwyciwszy dziecię w objęcia, Chorążyna zawołała.

— O! musisz mi wszystko, wszystko opowiedzieć o sobie!

Pomimo dziwnej nieśmiałości, której hrabia Roman nie miał wcale w salonach a nabawiał go ją mimowolnie dom rodzicielski ilekroć w nim gościł—byłby się szczerze z matką rozmówił, bo do niej daleko był śmielszym, ale ojciec wkrótce powrócił, a jego surowa postać zamknęła usta obojgu. Na twarzy starego znać było, że mu jakaś nowa troska przybyła a pewnie ów list stryjowski przeczytać musiał. Poszedł na swe dawne miejsce przy stoliku i siadł, wedle zwyczaju ręce złożywszy.

Rozpytywano o zdrowie hr. Filipa, o ostatnie podróże Romana odbyte po Europie, bo dla dokończenia, wychowania wysyłał go przybrany ojciec do Włoch, Francyi i Anglji a Niemcy znał już dawniej. Młodzieniec pod wrażeniem świeżem tego co widział, unosił się nad pięknościami natury, dziełami sztuki i wysoką cywilizacją zachodnich krajów. Matka słuchała go z zachwyceniem, ojciec z ciekawością ponurą i smutną. Parę razy nawet przerwał mu owe zachwyty zwracając uwagę, że własny kraj miał też wiele rzeczy widzenia i poznania godnych. Tych hr. Roman nie miał zręczności zwiedzenia, bo to zapewne w programm wychowania jego nie wchodziło.

Po herbacie i razem prawie podanej wieczerzy, bo téj czas był nadszedł a Chorąży swych obyczajów dla nikogo zmieniać nie lubił hr. Roman udał się oddawszy dobranoc na spoczynek.—Odprowadziła go matka do wcześnie przygotowanego pokoju wychodzącego na ogródek, który na krótki pobyt swego dziecka, pokryjomu przed mężem starała się przybrać wedle własnych pojęć o wygodach i nawyknieniach tego świata, w którym żyło jej dziecię. Pokój to był w zwykłe czasy przeznaczony dla krewnych i gości. Paliło się w nim najsuchszemi olszowemi drzewkami na kominku, przybranym bukietami jesiennych kwiatów, jakie mógł dostarczyć ogródek. Całe łóżko i podłoga przed nim usłana była ogromnym dywanem, macierzyńskim jeszcze wyprawnym, ale od dawna w kufrze spoczywającym... Swieżo zachowane jego barwy i jaskrawe róż bukiety, dziwnie się wydawały na niepokostowanéj z prostych tarcic podłodze. Ale téj niepodobna było zmienić i matka tylko ją wstydliwie poprzykrywać usiłowała małemi kilimkami dodatkowemi, tak że ledwie się jéj kawałeczki pozostawały. Z własnej sypialni odkradła matka też stary zegar bez którego komin obejść się nie mógł. Wykadzono lawendową wódką i sionkę i pokój. a co tylko wymyśleć było można dla wygody panicza, zniesiono na jego stolik i komodę..

Świeże firanki białe nadawały niepozornej izdebce, której belki do rozpaczy Chorążynę doprowadzały, fizjognomją wesołą i miłą. Nie było tu jednak tego wytworu i elegancji jakich życzyła matka, bo tych dom cały nie miał nigdy.

Wytworne tłomoki i torebki podróżnego z czerwonej skóry z bronzowemi okuciami, stały dotąd nie rozpakowane, bo służącego nie było. Spostrzegłszy to matka zaczęła się naprzód domagać, aby pomódz mogła do rozłożenia synowskiej toalety. Hr. Roman nie zaprzeczył, że wypakowanie jéj było niezbędną potrzebą lecz chciał się tem sam zająć.

— Ja jestem nawykły w istocie do wielkiego porządku — rzekł, bo i stryjaszek to lubi, żeby zawsze było przyzwoicie wszystko i w swem miejscu... ale ja to natychmiast podobywam i rozłożę..

Do rozłożenia wszakże okazał się brak stołu nakrytego, któryby przybory eleganta mógł pomieścić.

Na komodzie bowiem i na małym stoliczku tyle naprowadzono różnych rzeczy, iż toaleta już by się na nich jak należało rozłożyć nie mogła. Chłopak zawołany wniósł żądany stół; serwety jednak nie dozwolił zasłać hr. Roman upewniając, że ją ma z sobą i wozi zawsze na wszelki wypadek.

Z pedantyczną dokładnością otworzył zamczystą torbę, która rozwarłszy się ukazała zdziwionym oczom matki we wnętrzu swym niezliczone mnóstwo tajemniczych narzędzi, flaszek, szczotek, woreczków, pudełeczek i skrzyneczek..

— I do czegoż się to wszystko przydać może! zawołała pani Chorążyna. Roman uśmiechnął się z pewną dumą.

— Ale tu nie ma jednej špilki, któraby nie była koniecznie nieodbicie potrzebną, widzi kochana mama rzekł dobywając lusterko, flakony, puszki i cały szereg najdziwaczniejszych narzędzi...

Bez tego jabym doprawdy nie wiedział, jak się przyzwoicie umyć rano i ubrać...

Dwanaście flaszek perfum różnych, wód do zębów, do twarzy, kilka gąbek różnego kalibru, ręczniki twarde i miękiste, cienkie i delikatne, na ostatek pudełko różnych guzików i kollekcja szpilek zaświeciły symetrycznie ułożone na stole... Za temi poszło wydobywanie ubrań wieczornych i rannych, czapeczek, fezów, szlafroków, pantofli ciepłych i zimowych... tak że Chorążyna, której to bogactwo zrazu pochlebiało—w końcu sama też uśmiechać się z niego zaczęła zamyślona.

— Przyznam ci się, odezwała się cicho—że jesteście niewolnikami wielu zdaje mi się nie zupełnie potrzebnych nawyknień. Mój Boże! myśmy życie całe przebyli niedomyślając się wcale ich niezbędnéj konieczności—ale. ...

— Ale proszę mamy, całując ją w rękę dodał hr. Roman—u nas byłby wyśmianym ktoby do powszechnego zwyczaju się nie stosował.., a popełnić jakąś nieforemność, okazać się nieświadomym pewnych obyczajów—to zabija.

— To być może, spuszczając głowę i siadając u kominka, zamknęła matka.., ja też dziwię się tylko a nie krytykuję nic... Mówmy raczej o tobie. Jakże stryj? zadowolniony z ciebie?

— Tak mi się zdaje – odparł Roman, okazuje ciągle największą czułość dla mnie i nieraz mi powtarzał, iż ziściłem jego nadzieję i godnym się okazuję potomkiem wielkiego Zebrzydowskich domu. Staram się do jego skazówek i rad stosować... Moje stosunki nawet, znajomości, przyjaźnie poddałem jego rozkazom...

— Boś ty także dobre, poczciwe dziecię! przerwała matka aby mieć powód pocałować go w głowę.

Chłopak zarumienił się z radości i dumy.

— Ale wie mama, dodał po cichu rumieniąc się bardziej jeszcze i spuszczając oczy na śliczne swe białe, długie szlifowane pazurki: wie mama po co mnie tu podobno wysłano i co—jeżli się nie mylę, list stryjaszka zawiera?

Chorążyna ciekawe otworzyła oczy...a Roman zbliżając się szepnął.

— Zdaje mi się, że stryj mnie chce ożenić!

Matka drgnęła i mimowolnie klasnęła w dłonie.

— Czyż to może być!

— Już mi coś nawet wspomniał o tem. Czuje się gorzej i radby to małżeństwo, co rychlej przyprowadzić do skutku. Pewnie o tem pisał do ojca.

— Ale z kimże! z kim? Znasz ją? podchwyciła Chorążyna.

— Ja? widziałem ją raz tylko zdaleka w salonie, rzekł chłopak.

— Któż to jest?

— Niech no mama posłucha... to pomysł stryjaszka a może dawno osnuty projekt, o którym tylko wprzódy wspominać nie chciał ..

Chorążyna starym zwyczajem po cichu na intencją tę żeby złej nie usłyszeć nowiny, prędko zmówiła zdrowaśkę. Roman poprawił włosy, potem turkusowy pierścień na palcu, potem krawatkę i špilkę i tak mówić zaczął.

— W czasie kiedy jeszcze stryj miał interesa, jak powiada, i nim z nich przyszedł do tej wielkiej fortuny...

— Którą tobie zapisuje, wtrąciła matka...

— Poznał się we Lwowie z bardzo znacznym urzędnikiem austryjackim, Baronem von Wilmshofen. Mówią,że to stara bardzo familia i w wielkiem znaczeniu i łaskach u dworu. Ten Baron ożenił się we Lwowie z polką, i jakoś mu się tak szczęśliwie wiodło, że do dóbr w Galicyi przyszedł. Później więc ze stryjem sąsiadowali i kochali się jak bracia. Umarła Wilmshofenowi żona, a potem i on sam jakoś prędko życie skończył zostawiając córkę jedynaczkę, dziedziczką sąsiadującego z naszym majątku. A że z familią swą żył Baron nie dobrze, bo go podobno znać nie chciała, gdy ubogi wszedł w służbę, nie naznaczył opiekunem nikogo tylko stryja ..

Stryj się z tem nie wydawał, że pannę wychowywał, oddawał, na pensją, i całym majątkiem zarządzał.

Panna dorosła... ma przy sobie tylko teraz jedną starą ciotkę, niejaką panią Nieczujskę... Stryj widocznie chce mnie z nią swatać.

— I nie poznał was z sobą? przerwała matka—i to jakaś niemka!!

— Tylko nazwisko niemieckie, a wychowana we Lwowie na najpierwszej pensyi w klasztorze. Stryj radby co rychlej nas widzę pożenić, bo się obawia aby jej kto nie pochwycił.

Panna jest Baronówna i ma parę miljonów posagu.

Chorążyna chwyciła się za głowę...

— Poczciwy stryj magnatem cię zrobi! a co to za wielki człowiek! ileśmy mu winni .. Panna wychowana w klasztorze .. więc to skromne i poczciwe być musi. A ładna?

Roman się na nowo zarumienił.

— O! bardzo piękna! zawołał — chociaż niewiele o tem mówić mogę, bo ją w salonie tylko widziałem zdaleka, ale mi się wydała bardzo wdzięczną. Znać po niéj wielką panią! Jak się ubiera... jaki chód, ruchy, dystynkcja. Wszyscy się nad nią unosili.

— Ale jakże stryj mógł już pisać o małżeństwie niby o rzeczy pewnéj i osnutéj, gdy ty zaledwie wiesz o niem a z panną nie miałeś czasu zrobić znajomości, ani się starać jéj podobać.

— Proszę mamy, odparł z niejaką zarozumiałością młodzieniec — na wielkim świecie wszystkie małżeństwa tak rozumnie i z planem się wykonywują. Dla czegoż by przyzwoity młody człowiek nie miał się pannie podobać, albo taka panna jemu?..

— Ależ charaktery? przywiązanie?

— A! kochana mamo — cicho odezwał się Roman, ja tylko to powtarzam, co widzę i słyszę... U nas wszystko tak jest ściśle uregulowane, okryte prawnemi formami przewidziane, obmyślane, że się zawsze charaktery zgodzić muszą. a jak stryj powiada—przywiązanie albo się później urodzi, albo przyzwoici ludzie

Potrafią się nie okazując tego po sobie, obejść bez niego.

Chorążyna słuchając téj teoryi synowskiéj dziwnie poczęła trząść głową...

— Inny to świat, rzekła — ja go tam ani rozumiem, ani mogę pojąć — ale musi to z tem być dobrze, kiedy ludzie co na świecznikach stoją, do tego doszli.. i tak sobie życie ułożyli... Żenią się i u nas dla dogodności, przez rozwagę.. a małżeństwa bywają ni gorsze ni lepsze niż te które miłość wiąże... A jednakże...

Westchnęła matka.

— Cóż mnie do tego—dodała, jeśli ty to znajdujesz naturalnem i dobrem—a jednak ja bym dla ciebie była pragnęła żony, coby cię jak wart jesteś kochała..

Spojrzała na nań i pocieszyła się myślą:

— Któráżby tego ślicznego chłopca mogła nie kochać!

Zdaje się że hr. Roman nie wydając się z tem, podzielał jej przekonanie.

— Myślisz że o tem pisał do ojca? zapytała Chorążyna.

— Tak sądzę, kazał mi na list przywieść odpowiedź.

Głównie olszowe dopalały się na kominku, stary zegar wskazywał jedenastą godzinę, Chorążynie przyszło też na myśl, że dziecko mogło być zmęczone, wstała więc ściskając je w milczeniu, zadumana, a hr. Roman odprowadziwszy ją do sieni, rozebrał się przy niezręcznej pomocy chłopaka, którego mu przysłano do skomplikowanej, toalety wieczornej nie mniej jak dziennéj wyszukanej i prawidłowej.

Tym czasem Chorążyna szła do sypialni, gdzie męża zastała klęczącego i zatopionego w jakiemś rozmyślaniu głębokiem. Zdaje się że przyjście jej usłyszawszy stary pośpiesznie dokończył modlitwy i wstał jakby ze snu przebudzony.

W twarzy jego zamiast radości jaką powinno było obudzić przybycie dziecięcia, malowała się boleść utajona.

Chorążyna przewidywała już z niej burzę.

— Czy to jegomości niedobrze z tego wzruszenia, rzekła, może byś się co napił.

— Ja? napił? podchwycił stary, chyba Lettejskie wody?

— Jakaż to woda? ja jej w domu nie mam! w prostocie ducha odezwała się Chorążyna, może Roman co z sobą różne rzeczy wozić musi, ma ją przypadkiem, poszłabym wziąść.

Stary się uśmiechnął.

— Nie trzeba nic już, rzekł, przejdzie to jak przeszło wiele, jak wszystko przechodzi. Asindzka już pewno wiesz o nowym pana Filipa projekcie. Lalkę tę ledwie wystrychnął, już smarkacza żenić myśli i to jeszcze z baronówną niemiecką.

— Roman mi mówił że się czegoś domyśla, ale panna milionowa.

— Niechżeby sobie zaniosła i siebie i miliony do Niemiec, zawołał Chorąży, tego jeszcze brakło żeby Roman przy niej się na cudzoziemca wystrychnął, choć i tak nie wiedzieć co to jest.. ni polak, ni francuz, ni austryjak.. ni szlachcic... ni..

Ruszył ramionami.

— Proszą mnie o zezwolenie, dodał, śmiejąc się ironicznie, prawdziwy luxus i ceremonjalność pana Filipa, boć wiedzą żem syna się zrzekł i ręce mam związane. Zdałem jego losy i szczęście o przyszłość na stryja, niech sam radzi...

— Ależ dziecku choć błogosławieństwo twe należy, wtrąciła Chorążyna...

— Co mu po niem—smutnie rzekł ojciec, obcyśmy sobie — niepodobny on do mnie, ja go nierozumiem... rozeszły się drogi nasze.

Głosu mu na chwilę zabrakło, lecz wnet z podniesionym i gwałtownym wybuchem mówić znowu zaczął.

— O! nieszczęsna to była i grzeszna życia, mojego godzina, gdym się uległszy wam, dziecka mojego się wyrzekł. Karze mnie Bóg, bom zasłużył, bom nie powinien był dla marnej próżności, dla bogactwa, dla jakichś wielkości głupich, które w oczach Bożych i ludzi statecznych nic nie znaczą, — oddawać dziecko na pastwę komedjantom, by z niego lalkę zrobili.

Chorążyna przerażona załamała ręce.

— Na miłość Bożą —ucisz się! co ci jest? Jeszcze Roman posłyszy! co pomyśli. Już i tak zimno go przyjął i karzesz za swą winę, jeżeli to być ma twoja wina... Za cóż każesz mu pokutować.

Stary się umiarkował.

— Masz słuszność, rzekł tłumiąc wzruszenie—dosyć téj rozmowy bolesnéj, skończmy dzień, grzechy i karę ofiarując Panu na sąd Jego...

To mówiąc ukląkł znowu i modlić się zaczął. Jejmość która zrazu czekać chciała dopóki niedokończy pacierzy i na spoczynek nie szła, przekonała się wkrótce iż naprózno by się męczyła. Chorąży z głową w dłonie zanurzoną nie przestawał się modlić ciągle, niekiedy tylko westchnienie i bicie się w piersi świadczyło iż czuwał jeszcze... Zasnęła więc Jejmość znużona i nie wiedziała nawet kiedy biedny starzec pokutne swe modły dokończył.

Nazajutrz rano gdy się zerwała z pościeli, Chorążego już w pokoju nie było,— wyszedł do dnia na palcach aby się zająć gospodarstwem. Jejmość znalazła go odpoczywającego na ławce w ganku... smutnego jeszcze, ale z twarzą pogodną i zrezygnowaną.

Przewalczył znać na modlitwie wczorajsze usposobienie swoje i był już panem siebie.

Roman który był nawykł do snu długiego i dłuższego czuwania, nie przebudził się tak wcześnie. Godzina była dziewiąta i śliczny czas chłodny, ranek jesieni ze słońcem jasnem na niebie, rozbudził wszystkich do życia, gdy matka usłyszawszy ruch w pokoju syna, posłała doń chłopca czy każe odemknąć okiennice. Zerwał się Roman z pościeli i zapowiedział, że natychmiast wstanie i gotów będzie. Pomimo największego wszakże pośpiechu, przygotowaną kawę trzy razy odnosić musiano, nim się w rannem ubraniu wielce gustownem okazał w pokoju. Chłopak który mu posługiwał i z ciekawością przypatrzywał się całéj manipulacji rannego ubioru, donosił co chwila o postępie tej ważnej czynności. Opowiadał dziewczętom w kawiarni, że pan czesać się i szczotkować zaczął, że zasiadł do piłowania i szlifowania pazurków, że trzeci raz coraz inaczej się umywał, że w ostatku chustkę wiązał, co trwało kwandrans i rękawiczki niezbędne z wielką usilnością uniknięcia marszczków naciągał..

Cały ten ceremoniał na wsi, do dwojga starych rodziców, był niezmiernie śmieszny, lecz hr. Roman wychowanym był i nawykłym, nigdy z surowych obowiązków swych nie ustępować nic. Kapelusz ranny włożony wieczorem, rękawiczki niewłaściwego koloru wzięte po południu, byłyby go w oczach własnych srodze okryły.

Nawet pobłażająca matka zlekka ruszyła ramionami spojrzawszy na rękawiczki, kapelusz, misterny węzeł krawatki i zaczesanie włosów, dowodzące niemałego trudu poświęconego przerznięciu ich pod linję aż do karku.

Ojciec może dla tego witając się nie przyglądał mu bardzo, ażeby znowu niepotrzebnie nie oburzyć się. Zapach który z sobą wniósł do pokoju Roman, woń najczystsza Jockey Cluba, neutralizowała resztki dawnego jałowcu i skórek jabłkowych z cukrem... ale nienawykłym zdała się zbyt silną i u mężczyzny też śmieszną. Kawa z najdoskonalszym kożuszkiem i sucharkami, którą przygotowała matka, zdziwiła bardzo hrabiego Romana nawykłego śniadać po angielsku herbatą, szynką i jajami na miękko: zawahał się przed filiżanką.... gdyż innej kawy nad czarną nie pijał. Odgadła matka że w czemś uchybić musiała i szepnęła na ucho, coby sobie mieć życzył. Roman musiał się przyznać do jaj i herbaty, co uszło szczęściem oka Chorążego, a samowar podano niezna̧cznie... W ciągu śniadania stary ojciec starał się syna słówkiem zaczepić badając o nauki.. Odpowiedzi nie bardzo widać były zrozumiałe bo wkrótce pytać zaprzestał.

— Nie może być—rzekł w końcu, ażebyś asan nie wiedział co mi w liście przywiozłeś. Stryj pisze, że chce cię ożenić zaręczając, że osoba przeznaczona mu jest majętną, dobrze wychowaną i znakomitego rodu. Wziął na siebie wszystko niech i w tem rozporządza. Ja méj synowéj, niestety oglądać nie będę abym jéj przykrości oszczędził... a byle byś waszeć był szczęśliwym, cóż mi do tego?

Odpiszę więc że się zgadzam, bo inaczéj nie mogę, choćbym inaczej życzył może... Zawczesny to orzeszek, choć stare przysłowie młodo żeniącym się dobrze wróży. Bodaj się to sprawdziło... Błogosławieństwo daję z serca.. bo tu pono Bóg więcéj będzie miał do czynienia niż z innemi... i cudu jego potrzeba aby klejony związek był szczęśliwym... A w dodatku z niemką! westchnął stary...

— Ojciec dobrodziéj pozwoli mi objaśnić, wtrącił nieśmiało Roman, że panna chyba tylko nazwisko ma obce.

— Byle nie serce... dorzucił stary.. Pan Filip powinien wiedzieć co czyni — musi ją znać, opiekunem jéj był, wychowaniem się trudnił— to mnie pociesza... sobieby szkody nie chciał czynić ani przybranemu dziecku... Zatem wola jego i Boska.

Skłonił głowę...

— Ale się przecież z bohdanką znacie? spytał Chorąży po przestanku.

— To jest... ja ją raz widziałem zdaleka — rzekł Roman.

— Tylko raz i to zdaleka, pochwycił pan Zachariasz i przeżegnał się w milczeniu. Na tem dokończył rozmowy w tym przedmiocie.

(d. c. n.)

O ZGODNYM

UKŁADZIE ŻYWIOŁÓW ZIEMI.

ROZDZIAŁ IV.

Zima.

Każda pora roku ma piętna odrębne sobie właściwe. Zima jest odnawiającą wszystkie siły natury.

Będąc, że się tak wyrazimy, podwaliną całorocznego rozwoju, pozostawia chętnie innym porom roku ich względne korzyści, wiośnie jej strój godowy, przepych latu, a bogactwo jesieni.

Nadto nie wymagając nic sama dla siebie, zgromadza cierpliwie zapasy nieodzowne dla życia ludzi, zwierząt i roślin.

W działaniu zimy można dostrzedz trzy główne czynniki, to jest zimno, deszcz i wiatr, a chociaż często oddziałują one wspólnie na powierzchnię ziemi, w ogóle jednak mają odrębne trzy okresy czasu, w których każden z kolei jest siłą przemagającą.

Zimno jest głównym czynnikiem tej pory roku, która powinna być ostrą, chociażby tylko dla uwydatnienia tem większego wdzięku pory wiosennej. To też patrzcie jak ona niweczy wszystkie ozdoby i kształty, jak zaciera wszystkie barwy zniewalając do milczenia śpiewaków leśnych. Wstrzymuje a przynajmniej

zmniejsza ruch organiczny, narzuca twardą pokrywę na powierzchnię rzek i jezior, i daje uczuć swoje działanie nawet na dwóch biegunach ziemi pokrytych odwiecznemi lodami.

Jako znowu czynnik zachowawczy, zima zgromadza na wierzchołkach gór zapasy wody w postaci śniegu i lodu, aby tem samem zapewnić rzekom codzienny ich przybytek: na powierzchni ziemi wprowadzając w odrętwienie siły roślinne, ścieśnia jej skorupę, aby ochronić ziarno od działania słońca i zbyt wczesnego rozwoju. Jednocześnie oddala mnóstwo skrzydlatych przychodni, którzy w tym czasie byliby prostymi pasożytami, bez najmniejszej korzyści. Jeżeli zaś niektórzy z nich pozostają na miejscu jako krajowcy, to zima odmawiając innego pożywienia, oddaje im na pastwę niezliczone roje poczwarek, ochraniając tem zasiewy od strasznych nieprzyjaciół, zniewalając zarazem niedawnych szkodników do oddania ważnej przysługi człowiekowi. Nadto zima wprowadza w odrętwienie płazy a nawet niektóre zwierzęta ssące, i niszcząc miriady owadów i różnych stworzeń polnych i leśnych, wytwarza lub zaopatruje w nowe skarby tak nazwaną glebę rodzajną.

Jednocześnie obraz ziemi ulega stopniowej zmianie, w miarę jak niebo przybiera brunatny kolor, w miarę jak liście opadają i czasowi goście poczynają nas opuszczać. Oto już jaskółka dała swym towarzyszkom znak do podróży: świeszcz ostrzega zwierzęta śpiące podczas zimy, że nadeszła godzina długiego wypoczynku. Koszatka (1) wchodzi do otworu drzewnego, niedźwiedź szuka legowiska w odległym ostępie, a kret w norze wcześnie przez siebie przysposobionej.

Inne stworzenia w najrozmaitszy sposób szukają ochrony przed groźnem zimnem, nietoperze w małych gromadkach ściśniętych szczelnie, udzielają sobie ciepła wzajemnie, ryby w głębiach rzek i jezior, żaby w błocie, owady w szczelinach drzew i murów, a pająki w miękkich pokrowcach wcześnie przysposobionych.

Odrętwiałość rozmaitych stworzeń podczas zimy jest zjawiskiem nadzwyczajnie ciekawem, i dla tego powiemy w tej mierze słów kilka.

Przedewszystkiem zważmy, że sen zimowy jest właściwy stworzeniom należącym do najrozmaitrzych rodzai, i że przypada w porze roku pozbawiającej ich właściwego pożywienia. Pod względem swej mocy sen ten ma rozmaite stopnie pośrednie; sprowadza przedewszystkiem ociężałość zwierzęcia, a później zwolna doprowadza go do zupełnej nieruchomości.

W ogólności stan ten jest właściwy istotom niższego rozwoju pod względem ich organizmu, bo najprzód niski stopień cieplika czyni działanie zimna tem skuteczniejszem, powtóre; życie w nich zawarte jest więcej wytrwałem aniżeli czynnem, tem więc samem działalność jego łatwiej może być powstrzymaną. Ptak naprzykład podczas zimy w żaden sposób nie mógłby uledz odrętwieniu, z powodu ogromnego zapasu cieplika, a nadto przedłużony brak pokarmu byłby dla niego śmiertelnym, ponieważ żywotność jego jest nadzwyczajnie rozwiniętą.

W najdrobniejszych szczegółach dotyczących odrętwienia różnych stworzeń podczas zimy, można dostrzedz opiekuńczą dłoń Opatrzności. Niedźwiedź naprzykład zamieszkujący cyple wyniosłych gór, i jak to wskazuje układ jego zębów, skłonniejszy do przyjmowania pożywienia roślinnego, zginąłby z głodu podczas zimy, gdyby nie własność zasypiania i możność zebrania wielkiego zapasu tłustości, którą zasila całe ciało w mimowolnym spoczynku. Pod wpływem głodu zeszedłby na płaszczyznę i byłby bardzo niebezpiecznym dla ludzi, ale zima wprowadza w odrętwienie jego tylne nogi i przykuwając go czasowo do obranego miejsca spoczynku, jednocześnie zmniejsza jego żywotność w przedniej części ciała tak, że tłustość zaskórna spływająca do jego żołądka, jest dla niego posiłkiem wystarczającym. Jeż podlega odrętwieniu głębszemu i daleko dłuższemu. Żywi się owadami szukając schronienia w małych jamkach wykopanych przez siebie. Podczas zimy pozbawionym jest żywności zupełnie, a mając zbyt krótkie nogi nie mógłby przedsięwziąść podróży do cieplejszych okolic, zwłaszcza, że zniewolony byłby wykopywać nowy otwór w ziemi na każdym wypoczynku. Odrętwienie jego nie przerywa obiegu krwi, ale zwalnia go nadzwyczajnie, tak że dopiero za dokładnem obejrzeniem zwierzęcia, można dostrzedz ślady życia tajemniczego. Ze wszystkich zwierząt ssących świeszcz ulega najgłębszemu odrętwieniu. W pierwszych dniach zimna oddech jego jest tak zmniejszonym, że zaledwie ośm razy na minutę odnawia powietrze w płucach. Skutkiem zmniejszenia cieplika wewnętrznego, ciało jego ulega coraz większej nieruchomości, temperatura coraz większemu zniżaniu tak, że nareszcie oddech ustaje zupełnie a przynajmniej nie można dostrzedz najmniejszego poruszenia kanału oddechowego.

Świeszcza będącego w stanie odrętwienia, można nawet otoczyć wyziewami w jednej chwili, przerywającemi życie zwierzęce bez najmniejszej dla niego szkody. Ukryty w głębi swej jamy, zatyka starannie otwór do niej prowadzący, aby uniknąć wszelkiego niepokoju zewnętrznego. Dla ochronienia ciała swego od zbytecznego zimna, owija się w mech i siano, które poprzednio wysuszył starannie, poddając pod działanie promieni słonecznych. Skutkiem tych ostrożności, ciepło w jego jamie nie spada nigdy niżej zera, a pomimo tego świeszcz pozbawionym jest wszelkiego czucia i ruchu. Stan ten pośredni pomiędzy życiem i śmiercią jest tajemniczym nadzwyczajnie, ale jeszcze trudniejszym do wytłomaczenia jest stan wszelkiego rodzaju płazów, przyjmującym na zewnątrz wszelkie pozory śmierci, a pomimo tego utrzymujących życie wewnętrzne. Skóra i sierć świeszcza zachowały właściwą im elastyczność, gdy tymczasem skóra płazów przybiera stężałość właściwą ciałom nieżyjącym. Dotąd nauka nie umie wytłomaczyć zjawisk tak zadziwiających.

Trzy okoliczności zbiegają się dla powiększenia zimna w opisywanej przez nas porze roku. Najprzód pochylenie ziemi sprawia, że dzień jest znacznie krótszy: powtóre promienie słoneczne padając ukośnie mniej ogrzewają, a potrzecie: działanie ich jest zmniejszone przez gęste chmury zalegające widnokrąg. Przy braku światła, wszystkie przedmiota dotknięte są jakby jakąś posępnością udzielającą się po części i naszemu usposobieniu duchowemu. Drzewa zasadzone obok dróg, przybierają z daleka czarną postać, jakby jakieś widma złowieszcze groźne w swej nieruchomości.

Od czasu do czasu słychać płaczliwe krzyki sów, jakby chciały zwiększyć posępność całego obrazu, a spadające gwiazdki śniegu z drzew za silniejszym powiewem wiatru, podobne są do srebrnych naszywek na śmiertelnym całunie. Śnieg pokrywający przestrzenie ziemi, zabezpiecza zasiewy i korzenie drzew od zmarznięcia, a przytem posługuje do oświetlenia choć w części ciemnych nocy, pozbawionych zazwyczaj działania gwiazd i księżyca.

Z postępem jednak czasu te głębokie zaspy śniegu, powinny być zamienione na wodę mającą do spełnienia ważne zadanie na powierzchni ziemi. Nie zapominajmy jednak, że do stopienia jednej kropli wody potrzeba wielkiego gorąca, jakimże więc sposobem dokonanem będzie tajenie na tak wielki rozmiar? Bezwątpienia, gdyby rozum ludzki powołanym był do spełnienia dzieła podobnego, to wieleż to potrzebaby naczyń różnorodnych, ileż czasu i ile materjałów palnych. Przyzwyczajeni od dziecka patrzyć na to zjawisko, widząc że jest dokonanem szybko i łatwo, prawie nie pytamy jaki to czynnik tajemniczy przeprowadza tak ogromne zadanie.

Tym czynnikiem jest powiew wiatru, jak to już nam wiadomo, przychodzący z okolic podzwrotnikowych. Ciepłem swem dotknięciem rozdziela śnieg na dwie części, z których jedna w postaci pary wodnej wznosi się ku górze, a druga w postaci wody przebija głębsze pokłady śniegu i przeciska się do wnętrza ziemi. Para wodna nagromadzona w powietrzu pod wpływem chłodu panującego w górze, zgęszcza się a spadając w postaci deszczu, oczyszcza do reszty powierzchnią ziemi z białego pokrowca. Woda zaś wsiąkająca w głąb gruntu, rozmiękcza, ożywia wszystkie pierwiastki i zarody w nim znajdujące się, aby to co zamarło, znowu zmartwychwstało. Jakaż cudowna harmonja wszystkich sił i żywiołów, rozwijających przed nami wielką tajemnicę życia.

Bezwątpienia deszcz spada w różnych porach roku, ożywiając, oczyszczając lub uspokajając warstwy powietrza; w porze jednak kończącej zimę jest on może najużyteczniejszym, bo sprowadza na ziemię różne ciała lotne w postaci gazu często nawet szkodliwe w innej porze roku. Tymczasem w końcu zimy, przy wielkiej przenikliwości gruntu, pod wpływem tajenia śniegów, ciała te wchodząc do jej wnętrza zwiększają zapasy żywności dla wszelkiego rodzaju roślin.

Deszcz i parowanie wody pozostają także z sobą w doskonałej równowadze, i prawie każdorocznie spada z powietrza jednostajna ilość wody. Spadek ten podczas lata jest więcej nagły, podczas zimy więcej powolny, ale ustawiczny: tym sposobem najmniej przenikliwe warstwy ziemi przejęte są konieczną dla nich ilością wilgoci.

Ustawiczny spadek wody już w postaci deszczu, już to w postaci śniegu, jest najwłaściwszy tej porze roku, bo uskutecznione zasiewy wymagają zebrania pewnej ilości płynu, mającego być dla nich pierwiastkowem pożywieniem. Rozmaitego rodzaju istoty żyją dopiero w zarodku, albo pozostają w odrętwieniu, albo nareszcie ukryte w jamach lub gęstwinach drzew, nie drżą jeszcze o los nowego pokolenia i mogą spokojnie zostawać w obranem siedlisku.

Rolnik zajęty pracą wewnątrz swoich zabudowań, nie jest narażonym na ciągłe zmiany powietrza, a i mieszkaniec miasta unika pól i lasów jako nie mających w tej porze roku najmniejszego wdzięku.

Skoro zimno i deszcz dopełniły zadania, z kolei wiatr rozpoczyna swoją działalność, która zależy: na osuszeniu ziemi przez ułatwienie parowania; na oczyszczeniu jej z różnych ciał niepotrzebnych lub leżących w niewłaściwem miejscu; na przeniesieniu nasion roślinnych w różnych kierunkach, niekiedy aż na wyspy odległe, a nareszcie na oczyszczeniu widnokręgu przez rozpędzenie nagromadzonych chmur. Wyrażenie, że wiatr składa każden przedmiot na właściwem miejscu może się wydać dziwnem, ale nie należy zapominać, że obok rodzaju ludzkiego są jeszcze rozmaitego rodzaju istoty żyjące na kuli ziemskiej.

Rzucona słomka lub mały patyczek, posługują jako słup podpory w podziemnej budowli mrówek: rozmaite szczątki na które człowiek nie zwraca uwagi, są materjałem drogocennym dla ptastwa przy lepieniu lub wiązaniu gniazd; listki opadające na powierzchnią wody są łódkami dla rozmaitego rodzaju poczwarek, które w przemianie swej zostają owadami skrzydlatemi, unoszącemi się swobodnie w powietrzu, — a nareszcie sama kurzawa podnoszona przez wiatr aż do wierzchołka drzew, obejmuje miljony zarodków niewidzialnych okiem, które zatrzymane na gałęziach oczekują na rozwój liści, mających im posłużyć za pożywienie.

Bezwątpienia zima nie uderza wzroku swą piękno-

(1) Zwierzątko z rodzaju szczura.

ścią, przedstawia raczej wiele przedmiotów do rozwagi, jednakże nie jest pozbawioną wdzięku właściwego sobie. Wiele drzew zieleni się jak młodość wiecznie radośna i zawsze pełna nadziei: niektóre sterczą smutnie jak ręce błagalnie wyciągnięte ku niebu, a drugie puszą się pyłem śnieżnym niby strojnisie na gody jadące.

Jak tylko spojrzyć, całun bieli pokrywa ziemię, promienie słoneczne ślizgając się rozpryskują na wsze strony świata błyski jakby piorunowe, co dziwią i oślepiają zarazem.

Śnieg chrupi, smutny głos wrony przelatującej niepokoi, a dalekie psa wycie wśród ciszy nocnej przeraża, nagląc wędrowca do domowej zagrody. Patrzcie teraz na staranne zabiegi ptastwa szukającego pożywienia i niszczącego gniazda gąsienic grożących naszym zasiewom. Oto wybuchła niespodzianie walka pomiędzy sikorą a czyżykiem. Przedmiot sporu tak drobny, że zaledwie ująć go możemy naszym wzrokiem, jakieś ciałko organiczne przyniesione z odległych okolic poróżniło upartych zapaśników. Walka jednakże jest zaciętą i długą, bo czasy są ciężkie, pożywienie nie łatwe do znalezienia, a i miłość własna poruszona. Walczący wyrażają swój gniew krzykami ostremi i ucinanemi, używając naprzemian do napadu i odporu dzioba, nóg i skrzydeł;— nareszcie po podziale mniej lub więcej sprawiedliwym, każdy ucieka w inną stronę. Ten dramacik wiejski podczas wiosny, lata lub jesieni nie zwróciłby naszej uwagi, w obec obumarłej przyrody każden objaw życia zajmuje nas i bawi. Któż policzy te różnobarwne djamenty na szronie śniegowym, przyozdabiającym dach słomiany, lub szczyt pałacowej wieżyczki. Czyż nie możnaby powiedzieć, że jakiś znakomity jubiler chciał wynagrodzić świetnością drogich kamieni ich byt wątły tak krótko trwały. Nareszcie podczas nocy pogodnej, gdy łagodne promienie księżyca oświetlają biały całun rozpostarty na ziemi obumarłej, widnokrąg nie jest pozbawionym pewnej wspaniałości i obudza tysiączne uczucia w sercu myślącego człowieka.

Wiadomo, że szyba w oknie oziębiona przez powietrze zewnętrzne, oziębia z kolei parę wodną w pokoju, która w postaci drobnych kryształików osiada na jej powierzchni, ale nie wiadomo przecież na zasadzie jakiego prawa, kryształy te układają się w ten sposób, że tworzą pyszne wiązanki liści i kwiatów. Za pierwszym promieniem cieplejszego słońca nikną one bez znaku, tak jak w obec prawdy nikną złudne teorje oparte na błędzie.

Z każdego zjawiska przyrody można wyciągnąć jakąś naukę, a przynajmniej jakąś wskazówkę moralną.

Zima skupia niejako naszego ducha, ponieważ zmysły nasze nie są uderzane rozmaitością przedmiotów, jest to zatem pora roku najstosowniejsza do rozmyślania.

W zewnętrznym jej układzie można znaleść dawne podobieństwo ze starością człowieka: zima sprowadza ciszę w naturze, starość osamotnienie; zima niszczy wszystkie ozdoby przyrody, tak jak starość wszystkie złudzenia młodego wieku; zima jednak pod pozorem śmierci jest zadatkiem nowego rozwoju, tak jak w życiu człowieka grób jest tylko przedsionkiem lepszego żywota.

WŚRÓD WIECZNYCH LODÓW

NAPISAŁ

SYGURD WIŚNIOWSKI.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

Jungfrau i powrót z gór.

Srebrna Jungfrau, dziewico gór, której nieskalana biała szata tworzy najpyszniejszą ozdobę berneńskich łańcuchów! Ty u której podnóża czerpał Byron natchnienie do Manfreda, której wdzięczne kształty pono na to złożyła przyroda, by podać ludziom wzór godny naśladowania; w dzień iskrząca się niby brylant, a gdy zmrok wieczorny okryje doliny, pałająca jak wulkan od promieni słońca wiszących długiemi godzinami na szczycie tak pięknym, iż trudno im się z nim rozstać: w nocy zaś sterczącą po nad swemi współzawodnikami niby duch olbrzymi i milczący, ciebie poeci, uczeni, turyści, ciekawością li pędzeni, oglądają okiem podziwu i każdy z nich ujrzawszy cię, pragnie choćby na chwilę zawisnąć u twego wierzchołka.

Za Byrona czasów nie znali prawie śmiertelni sposobu dostania się na miejsca tak strome. Ztąd też wielki wieszcz nigdy nie poznał twej grozy zbliska, i tylko mieszkając w domu przytykającym do ścian twoich, duchem zwiedzał kryjówki twych lodowców i igły twych piramid. Genialny poeta nie potrzebował jednak przyglądać się zblizka szczegółom twej budowy: okiem ducha umiał on odgadnąć całą twą piękność aż do drobnostek. Stoki, twe gleczery i parowy niedostępne zamknięte między ścianami twemi, ożywiły się dla wieszcza; odgłos pryskających lodów i szum kaskad miały inne znaczenie dla niego, jak dla nas zwyczajnych podróżników.

On w nich odkrył mowę duchów przyrody, któremi wyobraźnia jego zaludniła twe sąsiedztwo, i wielką tajemnicę świata istot i sił nam niewidzialnych, podsłuchaną z tych tonów, wypowiedział w jednym z najwznioślejszych swych utworów.

A po nim przyszli Meyer uczony, i Hugi i Agassiz, narażający stokroć do roku życie, by zbadać prawa lodowców, skład geologiczny Alp i roślinności kryjącej się pomiędzy śniegami; każdy z nich złożył hołd dziewicy berneńskiej.

Meyer pierwszy wdarł się na szczyt twój, inni uczeni przyczynili się do znalezienia łatwiejszej drogi na twe ściany.

I Anglik Tyndal, ów znakomity geolog któryby w piekło zajrzał gdyby myślał iż nowy tam istnieje pokład, kilkakrotnie i ze stron rozmaitych wdarł się na twą wzniosłą piramidę.

Gdy cię tak Niemcy, Szwajcarzy, Anglicy czcili, chwalili, opisywali, zjawił się raz u twego podnóża i polski lutnista. Zachwycony widokiem szaty twej iskrzącej, twej pięknej główki osadzonej tak wdzięcznie na podstawie srebrzystej, i on zakochał się w tobie alpejska dziewo i rymami których użyłem na tło niniejszego opisu, powitał cię i uczcił twą krasę.

Wreszcie i ja, włóczęga szukający wszystkiego co wielbiciel przyrody nie posiadający fortuny angielskiej ujrzyć może, narażając często życie lub zdrowie by zastąpić pieniądze, staję u twego podnóża. Z którejkolwiek oglądam cię strony, zawsześ piękna i nie mogę rozstrzygnąć, czy wyglądasz piękniej od Interlaken zkąd cię widzę niby obelisk śnieżny, czy z Wengeralp na którą ślesz pociski lawin, czy ze strony lodowych mórz *Aletschy* nad któremi świecisz jak latarnia biała, wyrastająca z łona oceanu.

Patrząc na ciebie przez dni kilka i ja ulegam wpływowi, jaki na tęższe od mego wywierasz duchy, i pałam chęcią dostania się na szczyt twój. Są w Alpach i nawet blizko od ciebie wyższe i niebezpieczniejsze góry, których zdobycie okrywa sławą pomiędzy góralami. Ja jednak, jak setki innych, wybieram ciebie jako mą alpejską Mekkę, i nakłaniam mniej zachwyconego pięknością, a bardziej szukającego trudów towarzysza, by zamiast ludobójczego Schreckhornu lub prześcigających cię wysokością *Finsteraarhornu* i *Aletschu*, ciebie odwiedził.

Szczyt twój posiada inny jeszcze urok, oprócz pięknych kształtów na zewnątrz. Podobno tylko na nim i na Wetterhornie ogarnia umysł uczucie, iż ciało wisi bez podstawy w pośród lazuru. Igła pod stopami tak drobna, przepaść ziejąca w dole tak głęboka, iż zdaje się stojącemu tam człowiekowi, że mu zbywa na podstawie. Prozaiczni mówią wtedy, że wiszą pomiędzy niebem a ziemią niby na kołku niewidzialnym; poetyczni iż płyną w lazurze a padoły ziemskie daleko pod niemi tulą się w zmroku. Te cudowne pienia poetów, pochwały uczonych, wprowadziły Jungfrau w modę. Dziś, gdy wracasz z Alp z kijem w ręku z mantelzakiem na plecach jak prawdziwy turysta, pytają cię spotykający, czy byłeś na Jungfrau i jaki stan jej ścian stromych? Jeżeli śnieg pokryje szczeliny dobrym mostem, a zdradliwe lody na ich stokach przysłoni kobiercem ułatwiającym kroki ludzkie, liczni pielgrzymi korzystają z ułatwienia i prawie co tydzień zwiedzają ją w kilka osób.

Jest to czas prawdziwego żniwa dla przewodników, jedni z nich syci już zarobku jak Bohren i inni, nie przewodniczą już wprawdzie turystom, lecz założywszy piękne hotele u stóp jej, w ten sposób zwiększają mienie, którego początek wywalczyli drapiąc się stokroć na tę rzeczywiście srebrną dla nich górę; lub jak stary Almer, Lauener i tylu innych niemogących porzucić awanturniczego życia pomimo iż im nie zbywa już na dostatkach, corocznie zbierają bogate żniwo z gości, gromadzących się w celu zwiedzenia tej góry Jungfrau jest dla nich tem co Indje dla Anglika lub Kalifornia dla Amerykanina, niewyczerpanem źródłem zarobku.

Dziwni to ludzie ci przewodnicy alpejscy. Wejdź do izby gościnnej którego ze znakomitszych hotelów a ujrzysz ich tam kilkunastu, pokrzepiających się skromną butelką krajowego wina. Młodzi i starzy, prawie wszyscy spowinowaceni i noszący imiona Ulrich, Christian lub Peter, wnioskują o jutrzejszej pogodzie, kwestyi żywotnej dla ich kieszeni, lub rozprawiają o nowej ścieżce ułatwiającej podróż na jakąś niebotyczną skałę i odkrytej przez jednego z nich, gdy w wolnej chwili wybrał się sam na sam lub z jednym towarzyszem na wyszukanie nowej drogi do Indji tej doliny. Jest to Kolumb lub Vasco de Gama na małą skalę, jak ich prace, przysporzyły korzyści całym krajom, tak nową ścieżką może kilkaset osób ośmieli się wejść na górę, i tysiące franków zostanie pomiędzy mieszkańcami okolicy.

Czasami także Almer, Bohren lub inny weteran opowiadają o wielkich uczonych, z którem czasem całe tygodnie przebyli niby z braćmi, pod jedną sypiając kołdrą i z jednego pijąc kubka. Stykanie się częste z podobnemi ludźmi, ściskanie ich dłoni już to dla wzajemnej pomocy, już odbierając dzięki za uratowanie życia, lub za wprowadzenie na jakie ciekawe miejsce, wywarło wpływ widoczny na tych górali. Geniusze z któremi tak często obcowali, i w nich wzniecili iskrę poczucia dla piękna i cześć dla nauk. Poznawszy ludzi którzy pieniądze, trudy i życie poświęcają li dla naukowych pobudek, przekonali się, że są wznioślejsze rzeczy na ziemi jak chęć gromadzenia franków dla dorastających dzieci, i wyrażają się z szacunkiem o książkach i wiadomościach przyrodzonych.

Przytem i pewien rodzaj dumy gości w ich sercu. Wszak w najpóźniejszych wiekach będą czytać dzieła Agassiza lub Tyndala i na każdej stronicy ich spotkasz nazwiska przewodników. Ten uczony powie potomności, jak Almer własne narażał życie by go wydobyć z przepaści: tamten jak przez parę miesięcy żył sam na sam z Lauenerem i pokochał go jak brata; jak dostrzegł iż chłopski rozum nauczał górala niezbędnego taktu do pożycia z mędrkiem Londynu, jak estetyczne pojęcia nagle przez ciągłe wpatrywanie się w dzieła Boga nie ustępowały nabytym w szkołach. Nieśmiertelność uczonych zapewniła i pomocnikom ich również nagrodę za przebyte trudy.

Dobrze wiadomo góralom, iż chociaż suknie ich z domorodnego szaraczka, a ręce ogorzałe i twarde, lecz na górach swych równi są lordom i panom bogatym, potrzebującym ich usługi. Mnie, wędrowca niebogatego równie przyjmują grzecznie jak Macalanda syna możnej rodziny; nie prawi mu więcej pochwał choć funtami rzuca, jak mnie liczącemu franki.

Prawda iż żądają dobrej zapłaty za swą pracę, i wspólnie z przyjaciołmi swemi dawnemi przewodnikami a dziś właścicielami hotelów, wyzyskują tłum przybywający tu corocznie. Lecz gdy pomyślimy iż żniwo takowe trwa tylko przez trzy miesiące do roku, że ludzie ci narażają życie nietylko przez ten czas ile codziennie, prawie badając wąwozy i przeprawy alpejskie że podczas pochodu na górę idą naprzód obciążeni pakunkami i gościom pomagają, że z tego powodu grozi im większe niebezpieczeństwo jak ludziom idącym w ich ślady; musimy przyznać, iż niezbyt nielitościwie korzystają z napływu ciekawych. Często taki brak przewodników w Grindelwald lub Zermatt, iż niejeden bogaty Anglik dałby trzy razy tyle jak zwykle płaci, byle otrzymał którego ze słynnych i doświadczonych. Przecież jeżeli który z nich raz zgodził się z tobą, nie porzuci cię dla nowego pana hojniej płacącego.

Trudno także ich ganić, że po powrocie z wyprawy w której ci dali liczne dowody troskliwości i często narażali życie, stojąc na chwiejącym się głazie lub przechodząc po moście śnieżnym, by przekonać się, iż nie runie pod twym ciężarem, żądają kilka franków więcej jak się zgodzili. Któż im wtenczas takiego datku odmówi?

Wieczorem po powrocie z Wetterhornu, znów odwiedziłem hotel, w którym mieszkał szkocki mój przyjaciel, gdyż tam sejmikuje zwykle całe grono grindelwaldzkich przewodników. Już dawniej ułożyliśmy się z młodym Almerem i Gertschem by nam towarzyszyli na Jungfrau, lecz gdy tak ważna wyprawa wymagać wodza z wielkiem doświadczeniem, chcieliśmy nakłonić ojca Almera by przyjął komendę nad nami. I tym razem już był zamówiony na kilka tygodni przez rozmaite osoby wybierające się na bardzo niebezpieczne wyprawy. Nazajutrz miał zwiedzić Vierschergrat z kilkoma turystami, później udać się na Gspaltenhorn, góry znacznie niższej od Jungfrau lecz tak stroméj i tylu otoczonej parowami, iż dotąd nie zdołano jeszcze dojść do jej szczytu. Ztamtąd znów z jakimś Anglikiem miał przebyć tak zwaną bramę lawin, między Mnichem a Jungfrau. Wszystkie te trzy miejsca on pierwszy zwiedził przed nie wielu laty, i mało przewodników odważa się prowadzić tam obcych.

Zamiast Almera wzięliśmy więc Lauenera, o którym profesor Tyndall wyraża się tak pochlebnie po kilkomiesięcznem z nim pożyciu. Już dzień wczorajszy dowiódł nam z jaką kocią zręcznością umie on piąć się po skałach i uchronić podróżnych od wypadku. W szalonej odwadze a nawet umyślnem szukaniu niebezpieczeństw, przewyższa on podobno Almera, lecz mówią iż nie zna tyle gór co tamten i po za obrębem swego powiatu i kantonu Wallis, mniej od niego użyteczny. Almer był pododno kilkakrotnie na każdej znakomitej górze w Szwajcaryi a na Mont Rosa 80 razy.

Nie wstawaliśmy bardzo rano nazajutrz, gdyż pierwszego dnia w wycieczce na Jungfrau wyruszają dopiero o 7 lub 8 z hotelu. Po śniadaniu o 6 i napełnieniu mantelzaków zapasami, poczęliśmy się wybierać w drogę.

Tu wspomnę, iż nauczony przykładami z poprzednich wycieczek, zaopatrzyłem się w spory zapas jaj i sam je poniosłem na Jungfrau. Najwygodniejszą one tworzą strawę na górach, utrata ich tylokrotna zaostrzyła na nie mój apetyt. Młody wspólnik przygód mych byłby je niósł chętnie i tym razem, lecz z surową miną i z żółcią wywołaną przeszłemi wspomnieniami wyrzekłem stanowczo „ty nieś swoje, ja swoje."

Ruszamy z Launerem na czele, dwaj inni przewodnicy niosący nasze pakunki zamykają pochód. Zamiar nasz pierwotny udania się do kantonu Wallis i dostania się na Jungfrau od strony Aeggischhornu, zmieniamy prawie w chwili wymarszu.

Przyczyną tej zmiany była okoliczność iż Almer stary i jego panowie wychodzili w tejże chwili na Vierschergrat. Droga prowadząca na Jungfrau i Vierschergrat z Grindelwaldu idzie pomiędzy jednakiemi lodowcami przez cały dzień pierwszy, mogliśmy więc mieć towarzystwa na noclegu.

Aeggischhorn, punkt posiadający najpiękniejszy widok berneńskich i penniñskich Alp, zaopatrzony w wyborny hotel, zgromadza od wieku już w letniej porze wszystkich przyjaciół alpejskiej przyrody. Środkowe jego położenie pozwala na liczne wycieczki czy to na północ czy na południe, ztąd też wdarli się śmieli badacze najpierw do niedostępnych prawie gleczerów i szczytów. Po forsownym marszu przez wielki lodowiec *Aletschy*, największy w Europie i pono na całym świecie, dostają się oni do jaskini w górze zwanej Faulberg i przenocowawszy tam, zwiedzają Finsterarhorn lub Aletsch albo też niższą o stóp parę set lecz piękniejszą i uświęconą pieniami poetów Jungfrau.

Gdy z czasem zabrakło nowych gór do zdobywania, zuchwali członkowie klubów włoskich, szwajcarskich i angielskich, jakoteż niemcy uczeni i studenci poczęli przemyśliwać, czyby nie można dobić się sławy dostając się na te szczyty ze stron uważanych dotąd za zupełnie niedostępne. W skutek tych usiłowań znaleziono drogę z Grindelwald do wyższej części gleczeru Aletsch, zwanej Ewigschneefeld; nawet z Lauterbrunnen wdarli się ludzie po pionowych skałach z lodu na najgroźniej wyglądającą z tej strony Jungfrau.

Tylko z Wengeralp, chociaż możnaby sądzić że ztamtąd przerzuciłbyś kamień na szczyt góry, długo nie śmiano przypuścić szturmu. Młodsza siostra Jungfrau, zwana Silberhorn, najpiękniejszy kręgiel w Alpach, błyszczy tam o kilkatysięcy kroków od hotelu podając rękę Mnichowi odzianemu w biały kaptur śniegu. Lecz od nich dzieli bezdenna dolina zwana Frümmerlenthal (dolina gruzów.)

W nią sypią się bezustannie prawie z Silberhorn i z Mnicha lawiny, bryły lodów i olbrzymie głazy. Huk ich budzi w nocy, w dzień trwoży gości hotelowych.

Czegóż nie dokaże jednak wytrwałość i odwaga człowieka? Pod dowództwem starego Almera przekroczono raz tę straszną kotlinę godną pióra Dantego, i szturmem wzięto parów dzielący Silberhorn i Mnicha. Na idących przezeń górali sypały się lawiny z prawej i lewej strony; jedna z nich minęła tuż obok, niby kaskada wody, oni przylgnąwszy do skały przeczekali aż padnie w przepaść. Między głazem a śniegiem, było stóp kilka ubezpieczonych od jej wściekłości, jak bywa czasami pomiędzy kaskadą, spadającą łukiem z wysokiej góry a prostopadłą ścianą.

Minąwszy ten okropny wąwóz który nazwali *Lauirenthor* weszli na Ewigschneefeld i zwykłą drogą dostali się na Jungfrau.

Lecz i sam Silberhorn, najpóźniej zdobyty ze wszystkich wierzchołków w tej okolicy, uczuł wkrótce stopę zwycięzcy. Pan Bädeker, autor owych książek o Szwajcarji tak znanych w świecie, góral śmiały nie mógł spać na laurach już zdobytych, póki nie pokonał i tej ostatniej skały. Po niezliczonych trudach znalazł na nią drogę.

I zaiste patrząc z Wengeralp na tak piękną piramidę i mniej skwapliwy do awantur człowiek skusiłby się na ujrzenie jej zbliska. Ztąd wygląda jak samoistna góra i zasłania po części g ówną Jungfrau.

Lśniący blask czystej jej śniegowej szaty zachwyca oczy dzień cały: przez kilka godzin po zachodzie słońca szczyt jej złoty najpierw, później purpurowy stoi jak latarnia morska gorejąca nad morzem, i rzuca swe światło na ocean ciemności dokoła. Poeta patrzący na nią z tej strony zawołał s usznie, iż nie Jungfrau lecz Silberhorn powinien nosić nazwę dziewicy. Porównał on tę parę do pary kochanków; wynioślejsza góra prześciga drugą o wiele potężniejszem od niej ciałem. Oboje wdzięczni, lecz mniejsza i kibicią cieńsza i o kształtach dorodniejszych Czuły kochanek i opiekun jej, odział ją w jak najwspanialsze szaty, pozwoliłby ludzie podziwiając jej urodę i białość jej godowej sukni, mniej na niego zwracali uwagi.

Rozpisawszy się cokolwiek, by wytłomaczyć mój zachwyt, pośpieszam teraz za Luenerem ku karczmie wspomnianej. Do niej droga łatwa chociaż wiedzie nad przepaścią tysiąc stóp głęboką. Drzewa spotykamy tu jeszcze po prawej i lewej stronie: zrazu brzozy i olchy później świerki i jodły, wreszcie tylko olbrzymie co do grubości, lecz karłowatego wzrostu arwy, zapuszczają korzenie w skały stykające się z lodem.

Ciekawe to drzewa przyjaciele śniegów, zwane pinus cembra, z których szyszek dostają szwajcarskie dzieci smaczne ziarnka. Od granicy wiecznych śniegów aż gdzie najniższe sięgają gleczery spotkasz je najczęściej rosnące samotnie. Jak pustelnik mizantrop chroniący się pomiędzy skały nieczęsto nawiedzane, tak i one kryją się na wyżynach i spoglądają posępnie na gwarne życie w dolinach. Nigdy jednak nie zapuszczą korzenia w ciepłych nizinach, im potrzeba do życia chłodnego wiatru od lodowców, lubią narażać się na wściekłość burzy i wyzywać gromy, które ryją na ich korze czarne zmarszczki.

(d. c. n.)

Korespondencja z Krakowa.

Ktoby chciał a umiał być dowcipnym, mógłby zrobić karjerę u czytelników pospolitych, byle w imię moralności, nawet w imię Chrystusa wychłostał porządnie którego z prelegentów akademickich, ukrywszy się bezpiecznie pod zasłoną bezimienności. Korespondent wasz nie ma w tej chwili usposobienia do żartu, a nie miał podobno nigdy prawdziwego talentu humorysty: chybaby skłamał, bo to zawsze łatwe a niekiedy wcale nieźle naśladuje dowcip, i ma wszystkie cechy wiarogodności według dzisiejszych zasad prawdy i wiary.

Zapowiedziałem wam sprawozdanie z reszty odczytów na korzyść niezamożnych uczniów uniwersytetu. Podług mnie, odczyty wszystkie mniej więcéj udały się nawet pod względem zysku, mierząc zysk ten skromnemi mieszkańców tutejszych nadziejami Innego byli zdania nasi dowcipni redaktorowie; jeden mianowicie słyszał inaczej i rozumiał inaczej rzecz opowiedziana o Polu i stosunku jego do Mickiewicza, słyszał *dowcipnie* i znalazł zupełną wiarę. Prostować zdania jego nie będę, bo wrażenia dowcipu nie potrafiłbym osłabić—opowiem więc rzecz samą jak była bez dowcipu.

Nauczyciel w gimnazjum Św. Anny, docent filozofii na Uniwersytecie Dr. Teofil Zięba mówił o Stanisławie Leszczyńskim, jako o królu filozofie. Przebiegł pokrótce wszystkie prace jego pisane po francuzku, a nie wszystkie przełożone jeszcze na język polski w ogóle bardzo nam mało znane; wykazał znakomitą ich badawczą wartość, dowiódł, że wiele myśli w społecznym i filozoficznym widoku, pierwéj były własnością króla filozofa niż słynnych filozofów późniejszych.

Przedmiot odczytu i ważny i zajmujący, żywo opowiedziany z wielką łatwością i prostotą słowa, wywołał ogólne oklaski. Zdumieni byliśmy tem ożywieniem publiczności, która we wszystkich sferach bez względu na wiek i płeć utrzymuje się zwykle w tak poważnem, śpiącem usposobieniu, że zerwanie się niejako przebudzenie nagłe, zadziwia a czasem gorszy prawego syna miasta Krakowa. Zdarza się wprawdzie niekiedy goretszy oklask, śmiech serdeczny i głośny, ale to śród parterowych młodziutkich widzów, kiedy jakieś nagie głupstwo ze sceny zabłyśnie, jakiś dwuznacznik tak jednoznaczny, że żadnego niewymaga komentarza. Bywa i zapał, ale śród wielkiego tłoku i dobrze naprzód przygotowany.

Do wyjątków od tych praw należy jeden wieczór w sali hotelu Saskiego, gdzie zabrakło miejsca dla ciekawych, a ogólne usposobienie było goretsze istotnie. Wprawdzie wejście było bezpłatne, zaproszeń więcéj jak miejsca, a program wieczoru piękny i rozmaitości pełen.

Po odczycie Dr. Zięby był odczyt Dr. Bełcikowskiego o *Księciu Niezłomnym* Kalderona, znanym z przecudnego tłomaczenia Słowackiego. Prelegent czytał istotnie poważnie, uroczyście rzecz dobrze napisaną o znaczeniu utworu i stanowisku w literaturze dramatycznéj Kalderona i Szekspira, a czytanie to przerywał i ożywiał niezmiernie Rychter gorącą deklamacją wyjątków. Co się dziś mówi o piękności języka, o jego sile, jedności, potędze jakże fałszem być się zdaje, kiedy słyszymy te przymioty rzeczywiste w rzeczywistym wzorze. Zaprawdę ten wzór nie do naśladowania, to bogactwo, któremu nie masz prawie równego w słowie pisanem, ileż świetnością swą olśnić, przerazić niemal powinno dzisiejszych mistrzów języka, którry lada kto śmie przerabiać, poprawiać, wspomagać swą nędzną, nieudolnéj głowy swéj jałmużną. Byliśmy raz świadkami czytania rozprawy uczonego filologa, który obowiązywał się wykazać tysiączne błędy językowe w *Wallenrodzie i Grażynie* i gorąco zachęcał do poprawy języka, do reformy na drodze *umiejętnego badania.* Mądrość owa filologiczna, tak potwornym a poprawionym przez autora napisana była językiem, żeby ją zaledwie ciemny wielbiciel Grażyny języka, mógł zrozumieć. Otóż deklamacja Rychtera wierszy Słowackiego zdawała się czemś piorunującem, czemś druzgocącem na miazgę obecne ubóstwo poezji słowa i języka.

Wszystko co spało dotąd, ocknęło się na głos potężny wielkich myśli, tak wspaniale wypowiedzianych z takim ogniem i blaskiem. Młodzi raczyli uderzyć w dłonie, starym łzy w oczach stanęły, niewiasty dobrze urodzone, zdumiały się, że w tym języku tak pięknie wielmożny Pan Słowacki umie się wyrażać, a na niemczyznie wykarmieni mędrcy własnym uszom wierzyć nie chcieli temu co słyszą.

Zakończył odczyty publiczne w tydzień po *Księciu Niezłomnym*, traktat humorystyczno - anatomiczny *O sercu* profesora Anatomii Patologicznej, Teichmana. Anatom o sercu nie mógł mówić z tą czułością z jaką mówiłby poeta, kochanek, matka. We wstępie dość obszernym usprawiedliwiał się też, że będzie zmuszonym strącić z wysokości uroku serce, które dla niego inne ma znaczenie. W dowcipnym szkicu historycznym dotychczasowego *serca*, naiwnie raz zapytał siebie i publiczności, czemu mówiąc tak często matka do swego dziecięcia, miłujący do umiłowanego przedmiotu: *moje serce!* nie wyrazi się z równą a słuszną czułością o wątrobie i nie powie: *moja wątróbko!* Słuchaczom medycyny bardzo się ten dowcip podobał, bo mu przyklasnęli—gdy prelegent zwłaszcza dodał, że wątroba w organizmie *zwierzęcym*, a więc *ludzkim* równie ważną odgrywa rolę jak serce. Wykład ściśle naukowy rysunkiem, którego nikt nie widział poparty, trwał nie długo, utrzymywał się ciągle w tonie lekkim o ile Anatom — patolog lekkim być umie — i zajął bardzo płeć piękną szczególnie, która, kto wie czy po wykładzie ze wzgardą na wszystkie sprawy ludzkie nie spojrzała, w sercu biorące początek, dowiedziawszy się, że nauka w sercu widzi tylko kawał mięsa. Może prelegent nie miał złych zamiarów względem serca moralnego; skutek jednak był ten niewątpliwie, że serce straciło wiele uroku i wiara w moralne działanie jego osłabła.

Po prelekcyi zapytaliśmy siebie, czy przedmioty na tego rodzaju odczyty wybierane, wiele nauczą lub czy wiele zaszkodzą? Jesteśmy przekonani, że Anatomia mało zyskała zwolenników, że nieświadomi nieświadomemi wyszli—a pochopni do wątpienia powiedzieli sobie z *lżejszem sercem* —„ at! - pokazuje się, że wszystko na świecie głupstwo, tylko dobre żywienie, pieczeń dobra—popłukana węgrzynem, podkopcona cygarem to grunt.“

Od tych spraw codziennych, pospolitego znaczenia, powtarzających się rok rocznie i kończących się zawsze małym zarobkiem pieniężnym i moralnym, mamy przejść do wielkich, rzadkich, zaledwie co lat kilkadziesiąt powracających. Aby przejść do nich, przez wzgląd na ważność chwili, uroczystość — należałoby długo mówić o czem innem potem od razu zamilknąć, i po wielkiej pauzie—znów się odezwać. Otóż przypuśćmy, że się to wszystko już stało—żeśmy mówili o rzeczach wielu, potem milczeli długo, nakoniec ozwali się na nowo.

Był *drugi* dzień Grudnia 1873 r. a dzień ten znaczył 25 letni termin, trwania rządów dzisiejszego najdostojniejszego Monarchy w Państwie Austro-Węgierskiem panującego. Cała Monarchia z własnego popędu pośpieszyła złożyć dowody swojej wierności i miłości—jak kto umiał i jak rozumiał. Faktem jest niezbitym, że ten dzień najuroczyściej w najdalszych zakątkach państwa był obchodzony. Z gazet wiecie gdzie i w jaki sposób to się spełniło, ile adresów i odpowiedzi na nie szczerze łaskawych było—ile wreszcie lamp i świec spalono, jako oznaki widome czci i wdzięczności, a razem gustu i bogactwa.—Kraków w tych objawach nie był ostatnim.

Nie idzie nam bynajmniej o znaczenie charakteru i ważności politycznej dnia uroczystego: spraw tych nie rozumiemy i dlatego bieglejszym od nas je zostawiamy, ale radzi wykazać chcemy fakt ożywienia się miasta. O illuminacyach świetnych, wspaniałych mowy tu być nie może; miasto nasze rzadko wiele świateł na raz widzi i używa, ale o tę chęć gorącą, która się niespodzianie objawiła przy owej sposobności. Wielkich budynków rządowych miasto zbyt dużo nie posiada, starych i starością swą czcigodnych bardzo wiele. Jest jednak jeden, o którym wiele pisano i mówiono, nad którym radzą od lat wielu, jak go odnowić, podnieść i użyteczniejszym uczynić, a zwie się *Sukiennice.* Otóż owego olbrzyma podpartego ze wszystkich stron kulawemi i brudnemi chałupami, murowanemi wprawdzie ale zawsze strój i kształt chałupy mającemi, postanowiono ubrać, jasnemi lampami ustroić. Pięć tysięcy świateł na ten cel przeznaczono. *Pięć tysięcy!* to liczba u nas bajeczna ale pokazało się, że na jeden bok olbrzyma takiego zbyt mało. Jakoż po zapaleniu, a zapalanie trwało kilka godzin, bok ów jeden uderzał raczej ciemnemi niż jasnemi punktami, a że wiatr był niepomyślny, z zapalonych więc trzech lamp jedna zawsze gasła — i zdaje nam się, że w końcu do zapalenia wszystkich nie przyszło. (*) Po ścisłem obliczeniu przekonaliśmy się, że piętnaście tysięcy byłoby miernie jeden bok *Sukiennic* oświetliło, na całe zaś i rzetelne oświetlenie sto tysięcy byłoby nie zawiele: co do czasu to zdaje się, że do ożywienia kagańców światłem zaledwie cztery wieczory, albo dzień *cały letni* byłby dostatecznym.

Przedsięwzięcie tedy na siły gminy Krakowskiej okazało się za olbrzymie. Sam magistrat tradycyjnie od lat wielu w rzeczach tych bardzo oszczędny, przystroił się nader skromnie, imponował zdaje się obojętnością na te wszystkie blaski i przezrocza. W innych budynkach półurzędowych, pokuszenia o jasność były także próżne, jeden tylko Bank galicyjski dla handlu i przemysłu odznaczał się wśród tych usiłowań o świetność, prawdziwem bogactwem światła i gustu, a nawet lampy jego nie gasły przekornie tak jak na Sukiennicach. Chęci wszystkich były najlepsze — umiejętność i praktyka w rzeczach zbytku — słabe. Bez wielkiego za to kunsztu ale z wyraźnym objawem szczeréj woli, okna domów prywatnych najwdzięczniej się ubrały i najbłyskotniej świeciły.

Z tej próby illuminacyjnej, w ogóle próby do wytwornego życia, wynieśliśmy jedno przekonanie, że nam najbardziej jako miastu, skromność do twarzy przypada, że nawet w tym charakterze wytrwać powinniśmy.

Odbywa się tu od kilku dni tak zwana *Wenta* (Przedaż) na korzyść Towarzystwa *S-ego Wincentego à Paulo*—sala zapełniona ciągle przedającemi, kupujących z miasta, choć wejście bezpłatne, *nikogo* w bardzo ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Panie przedające przechodzą się między swojemi sklepami i kupują nawzajem od siebie, ale publiczności nie ma wcale.

Powiadają — i podobno na dobrej zasadzie powieść oparta, że po ostatniem przesileniu giełdowem, *rozbiciu* (krach) finansowem, miasto nasze bardzo zubożało. Powiadają, że nie ma człowieka, któryby niegdyś mierną fortunkę posiadał ogólnie z kupiectwa, mieszczaństwa, nawet obywatelstwa (co znaczy szlachty) aby nie grał na giełdzie i nie stracił wszystkiego, co lata całe zbierał. Tak pilno było realistom dzisiejszym dobić się co najprędzej milijonów, aby używać potem, że kto miał grosz jaki, słał wiernie żydostwu Wiedeńskiemu, liberalnemu, bezwyznaniowemu; ono brało, używało — aż samo siebie zgubiło i pociągnęło do zguby naiwnych, prostodusznych głupich nad wszelki wyraz, obywateli wszelkiego rodzaju i nazwy w kraju naszym.

Nieszczęśliwy nałóg posługiwania się we wszystkiem faktorami, pachciarzami! Na wsi obywatel nie sprzeda kwarty zboża bez pośrednictwa arendarza, pachciarza swojego: w mieście nie kupi nic bez faktora hotelowego — i w rzeczach największej wagi jak i najmniejszej - wszędzie faktor, pośrednik a nigdy własny rozsądek, którego niebrak wcale — tylko .

(*) Z powodu tego niefortunnego oświetlenia Sukiennic krakowskich, pan Faustyn Świderski bawiący chwilowo w Krakowie, napisał bajkę którą poniżej podajemy

Strażak i Sukiennice.

Razu pewnego Sukiennice stare,
Widząc, że im z tysiąca lamp robią ofiarę,
Wyrzekły do Strażaka co illuminował:
Lepiejbyś nas braciszku troszkę otynkował,
Bo djabli po paradzie mówiąc między nami,
Jak kto z zimna w starości wciąż dzwoni zębami.

Przypis. Redakcyi.

w użyciu go oszczędność, skąpstwo takie! Może to skutek lenistwa z pańskością połączonego. Mogąc myśleć, nie zadajemy sobie trudu myślenia, wolimy żeby ktoś za nas myślał i robił: tylko spać, jeść i pić nie pozwalamy nikomu za siebie, jeno sami z zapałem sprawy te spełniamy.

Do gry giełdowej pociągnęli nas żydzi faktorzy z losami na różne loterye państwowe, uwijający się po domach i hotelach: w każdej operacyi finansowej żydek mały bankierek przewodniczył — i oto skutki nauk takich guwernerów.

Foktory i bankiery potracili także wiele, ale potracili to, co szachrajstwem i nadzwyczajną oszczędnością zdobyli; my potraciliśmy grosz ciężko zapracowany, lub odziedziczony poczciwie. Oni wrócą znowu do stanu z którego wyszli, po życiu zbytkowem do zwierzęcości i szału posuniętem, zaczną pędzić życie nędzne, do jakiego myśmy niezdolni, zaczną szachrajkę dawną — i może znowu odzyskają pieniądz: u nas inaczej. My do oszczędności z nędzą i brudem graniczącej niezdolni, do szacherki niewprawni, a z natury wstręt do niej czujący, już do zamożności nie wrócim.

To samo na polu moralnem. Pod tem kierownictwem doszliśmy do bezwyznaniowości, straciliśmy wiarę, wszelki wdzięk i urok życia moralnego, więc jesteśmy moralnie bankruci. Oni właściwie wiary nie mieli, tylko zabobon, formę najsrożej krępującą rozum i wolę. Straciwszy to, nic nie stracili, pozornie zbliżyli się do świata bez wszelkich form i ograniczeń żyjącego a zbliżyli się na to, aby nas łatwiej oszukiwać i oszukać ostatecznie.

Rozpatrując się w działaniu dzisiejszego Wiedeńskiego żydostwa rozzuchwalonego, rozpasanego, znajdziemy tam źródło, początek nieskończonych klęsk naszych, trzeba tylko umieć trzeźwo patrzeć i widzieć.

W dniu 2-gim Grudnia przypadła także rocznica śmierci Wincentego Pola. Ale w dzień ogólnej całego państwa uroczystości, żałobna, żalu i bolesnych wspomnień pamiątka nie mogła być obchodzona; odłożono ją więc na dzień *Trzeci* i w kościele na *Wawelu*, rodzina zmarłego wysłuchać żałobnej mszy postanowiła. Rok jak umarł Wincenty Pol i już zapomniany zdaje się, wnosząc z kilkunastu tylko świadków, w obec których odprawiło się nabożeństwo. Pięciu profesorów uniwersytetu, żaden z gimnazyum, kilkunastu względnie policzywszy, młodych uczniów uniwersytetu, dwóch lub trzech najbliższych przyjaciół, — i oto wszystko, co się zebrało, aby westchnąć — a z tych nie wszyscy jeszcze pacierz i wieczny odpoczynek zmówili. Członków resursy *Postępem* zwanej nie było, chociaż za życia swego Pol świadczył im dobrodziejstwa, bo w ich sali głos podnosił nieraz, aby pociągnąć i czegoś nauczyć.

Nauczono nas nieszanować, nie czcić starych, którzy nam niegdyś o Bogu prawili i do wiary nawoływali: i poszliśmy za tą nauką, nauką także wiedeńskich apostołów. Czy nam z nią długo dobrze będzie, czy ona godnie do oblicza naszego i serca przypada, twierdzić nie śmiemy.

Przegląd literacki.

Wisła księga zbiorowa ku uczczeniu 25 letniej rocznicy pracy na polu dziennikarskiem Pawła Stalmacha. W Krakowie w drukarni W. Korneckiego skład główny w księgarni *Gebethnera i Wolfa w Warszawie 1873* str. 350 cena 2 rub.

Zawód literata-dziennikarza, jeżeli gdzie przedstawia więcej cierni niźli róż, to z pewnością na ubogich ukrainach Słowiańszczyzny, w których żywioł niemiecki, pomimo swej liczebnej mniejszości, góruje bogactwem, przemysłem i wykształceniem, a słowiańska większość, w skutek długoletniej zależności od obcego żywiołu, zaczyna nawet tracić poczucie swéj narodowości. Dobrze jeszcze gdy przewaga pojęć prawdziwie cywilizacyjnych nie stoi, przynajmniej w drodze administracyjnéj, na zawadzie przebudzenia się ducha słowiańskiego, który nabywa coraz więcéj praw do bytu i powoli może wyzwalać się z germańskich naleciałości i otrząsać się ze wspomnień dawnego przymusu i dawnego upośledzenia. Tak przynajmniéj stoją rzeczy w niewielkiej cząstce Szląska, pozostawić Austrji; inaczej zupełnie dzieje się w reszcie téj bogatej krainy słowiańskiej pod berłem następców Fryderyka.

Umieszczony na czele książki, o której mowa, życiorys Pawła Stalmacha, wymownemi rysami świadczy o ciężkiéj bezinteresownéj pracy tego pisarza i szczupłéj garstki innych, który 25 lat temu podjęli trudne zadanie obudzenia i rozwinięcie uśpionéj narodowości słowiańskiéj, w księstwie Cieszyńskiem na Szląsku Austryjackim. Mamy tam również liczne skazówki tych trudności, z jakiemi młodzi działacze musieli walczyć na każdym kroku. Wpływ józefino-meternichowskiego germanizmu był już wówczas tak znaczny, że Stalmach i jego przyjaciele, uczuwszy się powołanymi do rozbudzenia narodowości spostrzegli, że sami nie umieli dobrze nawet ojczystego języka i nie bez trudności i wielkich zabiegów zdołali zapoznać się z nim dokładnie. Następnie zaczęli uczyć innych i czynić wszelkie usiłowania, ażeby lud szląski mógł czytać i śpiewać po polsku. Tak jest, śpiewać — zwrócono bowiem uwagę i na to, że lud przy służbie Bożéj używał języka czeskiego i dopiero Stalmach wydał pierwszy kancjonał polski. Stalmach również pierwszy powziął myśl wydawać czasopismo, które ukazało się w 1848 r. pod mianem Tygodnia Cieszyńskiego, i dziś jeszcze istnieje pod nazwą Gwiazdki Cieszyńskiej: niniejsza książka zbiorowa ma właśnie służyć ku uczczeniu jubileuszu Gwiazdki. Historya tego czasopisma, określona również w życiorysie poprzedzająca niezmiernie: czytamy tam dzieje wytrwałych usiłowań ludzi, którzy bez zasobów materjalnych (nie byli nawet w stanie złożyć wymaganéj prawem kaucji), bez prenumeratorów niemal i bez czytelników, ograniczeni, co do współpracownictwa, szczupłem gronkiem swoich przyjaciół, walcząc z potężną niechęcią ludności niemieckiej i administracji austryjackiej, nie tylko że nie ciągnąc żadnych zysków ze swojego wydawnictwa, ale nadto składając mu w ofierze szczupłe swe zarobki—pomimo to jednak potrafili wytrwać w raz powziętem przedsięwzięciu i utrzymać swoje pismo przez całe 25 lat. Przebywszy rozmaite trudne okoliczności, dziś Gwiazdka Cieszyńska spokojniej może poglądać w przyszłość. Nie można tegó powiedzieć o jéj redaktorze, dla tego wydanie niniejszéj książki zbiorowéj na korzyść p. Stalmacha, jest spłaceniem cząstki słusznego długu, który zaskarbił sobie wytrwały i bezinteresowny pracownik u całego ogółu ludzi dobrze myślących.

Oprócz owego życiorysu Stalmacha, pióra p. Anczyca, wielu z pomiędzy znanych naszych pisarzy dorzuciło swoje kwiatki i listki do wspólnej obywatelskiej wiązanki. Poezya zajmuje tu miejsce pokaźne, jakby na przekór twierdzeniom tych, którzy tej posłanki niebios w naszych prozaicznych czasach dojrzeć nie mogą. Czytamy tu Pola „Ostatnią pieśń Januszową,“ parę rzuconych piosenek Lenartowicza, wiersz Elego „Na grobie Pola“ rapsod p. Duchińskiej „Za Głogów Psie pole“ kilka poezyi Kraszewskiego i wiele innych utworów wierszem oryginalnych i tłomaczonych. Z pomiędzy tych ostatnich zasługują na uwagę: przekład 1 pieśni Rejneke-Lisa z Getego, dokonany przez pana Jenikiego i naśladowanie z Hejnego „W chatce góralskiej przez A. Pługa. Z prac historycznych, mamy tu rzecz o Maksymilijanie i Byczynie przez p. Szmitta i bardzo zajmujący szkic z naszych dziejów średniowiecznych p. Szujskiego p. t. „Apostolskie wyprawy św. Ottona z Bamberga“ P. Wojcicki dał krótki urywek „Tradycya Narodowa.“ Odczyt p. Belcikowskiego o Fauście czyta się z zajęciem, tu i owdzie dostrzegliśmy tylko nieco usterek języka i stylu. Rzecz p. Krupińskiego „O granicach ludzkiego poznania“ i p. P. Wilkońskiej „Pogadanki o wychowaniu“ zbyt urywkowe i ogólnikowe. Ciekawy i dla nas zwłaszcza zajmujący jest opis okolic Cieszyna przez ks. Ottona. Z rzeczy ulotniejszych szkic p. Gregorowicza p. t. „Ulicznik Warszawski“ jaśnieje życiową prawdą i humorem.

Powieści i powiastek sporo: za najlepszą uważamy opowiadanie p. Wilczyńskiego „Pani Inspektorowa, trafną charakterystyką głównej postaci odznacza się także i powiastka p. Koziebrodzkiego p. t. „Portret“ Reszta wygląda jakoś dziwnie, ni to luźne rozdziały ni to całkowite opowieści: tak np. „Rozwódka“ Jeża, „Biała Brzoza“ p. Marrené i „Fatamorgana“ Zacharjasiewicza—to jedynie kilkanaście stroniczek z zakrojem powieściowym. Nakoniec wspomnimy jeszcze o zabytku dawnej polszczyzny z wieku XVI, treści pobożnej p. t. „Powieść o Papieżu Urbanie“, którą tu umieścił p. Wisłocki z zachowaniem pierwotnej pisowni.

Bezwątpienia należy się wdzięczność autorom, którzy swe prace dali do książki; większość tych prac, jak wspomnieliśmy, istotnie zaleca się treścią i dążeniem; trudno wszelako nie wyznać, że mogłoby tu być więcéj jeszcze rzeczy ważnych i pożytecznych. Niektórzy bowiem, jak to jest widocznem, na wezwanie o udział odpowiedzieli mało i siebie i celu i czytelników godnemi fraszkami. Szczegółowo o tem rozpisywać się nie chcemy, gdyż, bądź co bądź i dla celu i dla istotnej wartości większej części artykułów, książka Zbiorowa zasługuje na jak największe rozpowszechnienie.

L. Sz. W.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Fig. 1. Ubranie balowe. Suknia biała tarlatanowa ze stanikiem z bawetem, z niebieskiej materji. Spódnica garnirowana fałdowanemi falbanami; z boków dana marszczona woda z nagłówkami, przeszytemi niebieskiemi plisami. Tiunika podpięta suto, zakończona wolantem, bufą i nagłówkiem z niebieskiemi pliskami. Krótkie rękawki, przy jedwabnym staniku, ułożone są w bufki niebieskie i białe, oraz falbanki. Przepięcie z przodu sukni kokarda i szarfa boczna, zakończona frendzlą, są z ciężkiej jedwabnej wstążki. Róże we włosach, i przy *sukni z boku.*

Fig. 2. Ubranie do teatru lub na wieczór. Suknia jedwabna wiśniowa z wielkim trenem, przybrana jest u dołu dwiema plisami aksamitnemi. Przedni bryt, zakończony wolantem z nagłówkiem i riuszą, z pliską aksamitną; z prawej strony przyszyta wielka kokarda z wstążki. Talma biała kaszmirowa, lekko podwatowana, ozdobiona haftem i oszyciem z piór.

Podłużny wykrój szyi dopełnia kołnierzyk Stuart z atłasową podszewką i riusza tiulowa, zakończona kokardą atłasową i gałązką róż. We włosach róża a na wierzch zarzucony szalik gazowy. Wachlarz z piór.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Opis do N. 1.

Ryciny od N. 1 do 6 włącznie, opisane na osobnym dodatku oraz dołączone do nich kroje.

N. 7. **Lambrekina** z kieszenią do okna.

Robota mozajkowa z resztek kolorowego sukna i flanelki. Deseń i forma w dodatku Fig. 93.

Różno kolorowe resztki sukna i flanelki wycięte podług fig.93, z brzegu rzadko odzierganе jedwabiami i układane w rzędy jedne na drugie zachodzące, i stanowiące łuszczkę rybią, przyszywa się do mocnego płótna, dobierając w ten sposób kolory, ażeby niemi odznaczyć deseń na ryc. 7 wskazany. Flanelki bierze się podwójnie, a na niektórych listkach wyszyte są gwiazdki jedwabiami; listki wystające z brzegów są u góry trochę przyfałdowane do przyszycia. Model lambrekiny miał 83 centy. szerokości 54 bocznej, a 74 i 71 długości zębów. Oprócz płótna daje się pod całą lambrekinę podszewkę z czarnego perkalu, pomiędzy 7 i 8 rzędem od góry przecina się w płótnie otwór 38 centy. długi, do którego przyszywa się kieszeń 30 centy. głęboką, służącą do schowania drobiazgów, albo ściereczki od kurzu. Górny brzeg lambrekiny oszyty jest riuszą z pąsowej tasiemki 4 centy. szerokiej, przeszyta środkiem czarną ¼ centy. szeroką aksamitką, z dwóch stron białą włóczką przydzierganą. Zęby zakończone są kwastami 9 centy. długiemi, na przemian z różno kolorowej i czarnej włóczki robionemi.

N. 8—10. **Woalik** z jedwabnego tiulu.

Ryc. 8 przedstawia woalik z jedwabnego tiulu, który powinien być gładko na twarz założony, i na wierzchu główki zapięty, a końce spadają zręcznie z tyłu. Model z czarnego jedwabnego tiulu miał 128 dolnej, 92 centy. górnej długości, i 32 centy. szerokości; dół i boczne, skośnie ścięte brzegi zakończone są obrębem 4 centy. szerokim. Ryc. 9 i 10 podaje próbki szlaków w połowie na obręb zachodzących, które wywodzi się pelą i zdobi naszytemi perełkami, rzucik zaś na tle rozsiany, robiony jest czarną szenelą. Ciężar perełek dopomaga do zręcznego obciągnięcia woalika. Na próbce ryc. 10 rzucik wyszyty jest perełkami.

N. 11—12. **Dwie** irlandzkie koronki z tasiemeczki dwojakiego rodzaju.

Obadwa szlaczki są bardzo łatwe i pośpieszne w robocie, a jednak z powodu mięszania odmiennych rodzajów tasiemeczki wydają się ładnie. Pręciki dziergane z pikotami i bez pikotów oraz krzyże i słupy cerowane na przewleczonych nitkach, jak w siatce gipiurowej. Brzegi zębów oszyte są fabrycznemi pikotami.

N. 13—15. **Trzy** próbki ściegów na tło do roboty kanwowej.

Próbka N. 13 robiona jest kolorem kamiennym i bordo w trzech cieniach. Deseń pasków brzeżnych i środkowego, odrobiony jest ściegiem skośnym, do środka się schodzącym, cieniem bordo; tło zaś zapełniają zwyczajne krzyżyki, najjaśniejszego kamiennego koloru. Paski środkowe zarabiane są 2 ciemniejszemi kamiennemi kolorami, krzyżykami długiemi i wyszyte z wierzchu kordonkiem koloru kukurydzy. Próbkę N. 14—15 odrobić można jednym albo dwoma kolorami.

N. 16. **Rękaw** do sukni z dwoma mankietami.

Brzeg rękawa oszyty jest skośną, marszczoną falbanką 37 centy. długą w środku 5 i pół z brzegów 3 i pół szeroką. Pierwszy otwarty mankiet ma 14 cent. szerokości, zwierzchni powinien być w koło 3 cent. zmniejszony. Przyszycie falbanki i mankietów przykrywają dwie patki skośne, w środku 2 z brzegów 3 i pół cent. szerokie, których śpiczasto ścięte końce przyozdobione guzikami. Wszystkie części garnirunku objęte są rulonikiem. Kokarda z tej samej co ruloniki materji przepięta jest sprzączką.

N. 17. **Rękaw** ubrany plisowaniem do sukni ryc. 2 i do ryc. 17 w N. 2 Tygodnika.

Ryciny od N. 18 do 36 włącznie opisane na osobnym dodatku.



N. 1. Suknia wizytowa ze stanikiem z baskiną i tiuniką otwartą z tyłu. Krój stanika i tiuniki w dodatku N. XIII fig. 34—41.

N. 2. Ubranie wizytowe z vêtement otwartem z przodu. Patrz rękaw ryc. 17. Krój vêtement w dodatku N. I, fig. 1—4a.

N. 37. **Kapelusz** filcowy z rondem szeroko wywiniętem.

Brunatny filcowy kapelusz z wysoką, podłużną główką ma rondko pokryte aksamitem i wywinięte z przodu na 5 i pół, z tyłu na 3 centy. w górę. Na kokardy przepięte sprzączką, zeszywa się dwa kawałki brunatnego rypsu w dwóch cieniach, w ten sposób, ażeby jedna strona była ciemniejsza, druga jaśniejsza. Następnie pukle i końce układa się na przemian jaśniejsze i ciemniejsze. Długie strusie pióra także w dwóch cieniach, przypięte są z boku między kokardami.

N. 38. **Kapelusz** okrągły z miękkiego filcu.

Główka czarnego kapelusza jest cokolwiek wklęśnięta, rondko równo w górę podniesione i czarnym rypsem objęte. Do ubrania służy czarna rypsowa wstążka, i mieniące się kolorowe skrzydełka.

N. 39. **Kapelusz** z rondkiem z przodu odwiniętem.

Miękki, oryginalnego kształtu kapelusik, ma rondko czarnym aksamitem pokryte i w górę płasko odwinięte. Sute ubranie składa się ze wstążki czarnej rypsowej, kitki z piór i strusiego jasno niebieskiego pióra, oraz bukieciku z niezapominajek i pączków róży.

N. 40. **Suknia** z haftowanemi szlakami.

Krój jak do ryc. 33 w N. 46 Tygodnika Mód z roku 1873.

Spódnica jedwabnej sukni piaskowego koloru, ogarnirowana jest 2 wolantami, oszytemi u dołu i u góry białą koronką, a przedzielonemi szlakiem haftowanym na spódnicy. Vêtement podpięte z tyłu, które przykroić można podług wyżej wskazanej formy, oszyte jest szeroką białą koronką, i ozdobione haftowanym szlakiem, który z przodów, zwęża się stopniowo do pasa a następnie rozszerza na staniku. Plecy i rękawy przyozdobione są także haftowaną arabeską. Pasek, szarfy, krawatka, opasanie rękawów i kokarda przy włosach, są ze wstążki niebieskiej odpowiedniej szerokości.

N. 41. **Kaftanik** do figury i kamizelka.

Tak kamizelka jak kaftaniczek, dopasowane być mogą podług formy dobrze leżącego stanika. Do kamizelki czarnej, aksamitnej, albo ciemniejszego odcieniu, tego co suknia koloru, dodaje się bawet z przodu zapinany, a wykrój szalowy oszyty jest krezą aksamitną, podszytą jasną jedwabną podszewką i podgarnirowaną jedwabnym tiulem, złożonym podwójnie. Zupełnie do figury dopasowany kaftaniczek otwarty z przodu, złączony tylko kokardą, jest z tej samej co suknia materyi jedwabnej albo wełnianej. Flakon w kształcie rogu przywieszony jest na łańcuszku u paska pod kamizelką.

N. 42. **Suknia** ze stanikiem z baskiną.

Rysunek pleców do ryc. 1 w N. 1 Tygodnika.

Opis do N. 2.

N. 1. Krój i opis w dodatkach.

N. 2 - 3. Kapturek z chustki robionej na drutach.

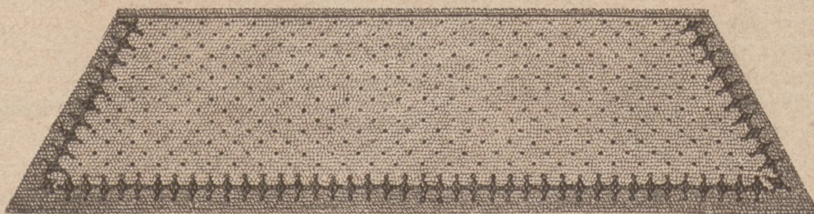
Podajemy tu naszym czytelniczkom nowy sposób upięcia chustki cieniutkiej czarnej lub białej, stanowiącej lekkie i miłe pokrycie głowy, nie gniotące włosów. Kokardy dodane są z kolorowej wstążki, co dobrze odbija przy twarzy. Taki układ wymaga chustki kwadratowej, na 92 cent. długości. Z przodu brzeg wywija się na 16 cent. szerokości, w środku odłożywszy brzeg ku twarzy



N. 3. Aksamitny paltocik z ranwersem i koronkowym kapturkiem. Przód do ryc. 4. Krój paletota podany był w ostatnich Nrach przeszłorocznych. Krój ranwersu w dodatku N. X fig. 23



N. 5. Kaftaniczek bez rękawów, z baskinką, Przód do ryc. 6. Krój w dodatku N. II fig. 5 - 7.



N. 8. Woalik tiulowy. Patrz szlak ryc. 9—10.

układa się dubeltowo kontrafałdę, którą przyciska kolorowa kokarda. Przy białej chusteczce ładnie odbija czarna aksamitka. Brzegi pozostałe z obu stron kontrafałdy, wywijają się na wierzch i spinają z tyłu na środku kokardą, na 18 cent. odległości od tylnego brzegu chusteczki. Ażeby chusteczka luźno zakładała się na włosy ładnie uczesane, potrzeba z niej założyć kilka fałdów na środku pod kokardą, jak to wskazuje rycina 3, przedstawiająca kapturek z przodu. Przedni, podwójny brzeg chusteczki, podwija się na wierzch koło twarzy, na 3 cent. przez co środek wysuwa się bliżej czoła w kształcie zęba. Kokarda przyszyta i ułożona podług ryc. 3, zasłania pod szyją zapięcie na haftkę.



N. 4. Aksamitny paltocik z ranwersem i koronkowym kapturkiem. Plecy do ryc. 3.

N. 4—5. Chusteczka gorsecikowa z koronkową szmizetką.

Opis i krój w dodatkach.

N. 6—7. Sukienka w kliny dla dziewczynki od lat 2—3. Krój na dodatku N. VIII, fig. 16—19.

Przybranie niebieskiej sukienki podszytej podszewką, składa się ze złoconych guzików i objęcia z aksamitem niebieskim, które u dołu ma 2 a przy staniku i kieszonkach 1 cent. szerokości. Stanik i spódniczka krają się z przodu w jednym ciągu, podług fig. 16; do pleców, skrojonych podług fig. 17 przyszywają się, po sfałdowaniu dwa bryty tylne, z boków przednich trochę skośno ścięte, mające po 45 cent. szerokości u dołu, a 30 w górze. Pod kołnierz (fig. 18), pod kieszonki i wykłady na rękawach, wycięte w zęby, których wielkość oznaczona jest linją prostą, na fig. 19, poddaje się podszewkę ze sztywnego muślinu. Patki spięte z tyłu na guziczek, mają po 4 i pół cent. szerokości i przyszywają się na szwach bocznych.

N. 8—12. Opisy i kroje w dodatkach.

N. 13—15. Koszyczek na łyżki ozdobiony haftem.

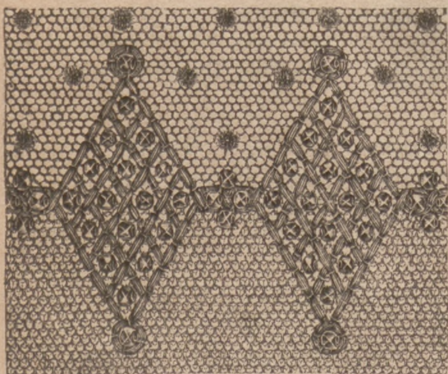


N. 6. Kaftanik bez rękawów z baskiną. Plecy do ryc. 5.

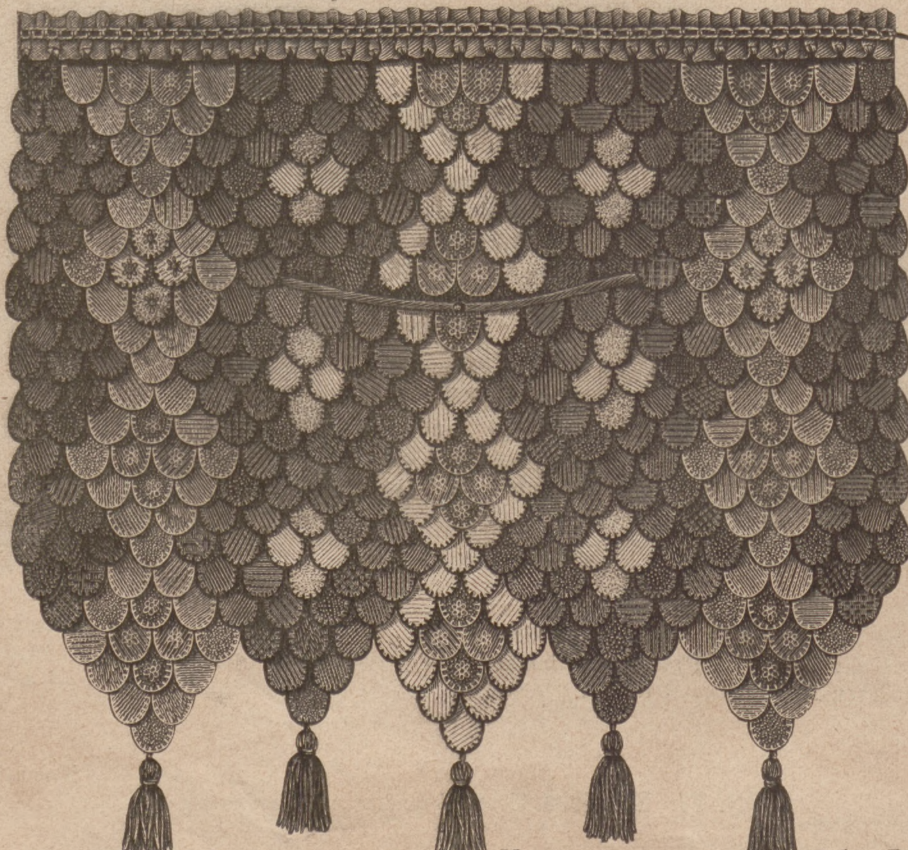
Koszyczek trzcinowy, polakierowany brązowo, dość głęboki lecz wązki, wsparty jest na wygiętych nóżkach trzcinowych, złoconych. Do podnoszenia służą dwie sztabki, przełożone pod górnem wygięciem nóżek i przewiązane kokardami z różowej wstążki. Z tej wstążki 3 cent. szerokiej, ułożona jest riusza dana w około górnego brzegu. Pasek białego sukna wycięty w duże zęby, naśladujące lambrekinę, ozdobiony jest złotą plecioneczką przeszywaną, czarnym jedwabiem; po nad plecionką dany rząd węzełków jedwabiem różowym. Maleńkie kwiatki pąsowe z zielonym do cieniu, wyszywają się podług ryc. 14. Rycina 15 podaje odmienny wzór wyszycia, w kształcie motyla, haftowanego brązowym i szafirowym jedwabiem. W drobniutkich ząbkach brzeżnych wszywane są luźnemi nitkami, perełki stalowe.

N. 16. Pasek z karoczkiem i kieszonką.

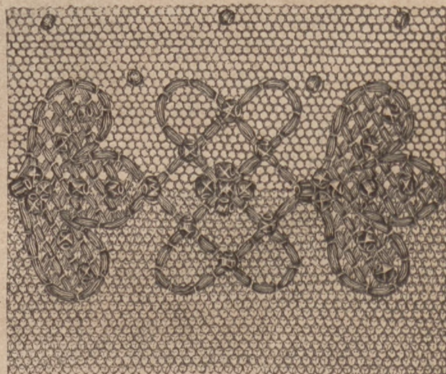
Pasek ten wzięty jest od sukni odrobionej z lekkiego materjału szarego, lecz ze zmianą przybrania można wykończyć go z innych materjałów. Karoczek składa się z dwóch części, zszytych środkiem, mających po 30 cent. szerokości u dołu z brzegów przednich; ku środkowi ścinają się skośno od 23 do 5 cent. długości. Przez założenie kontrafałdy w górze, szerokość zmniejsza się do 14 cent. Na wzorze falbanka ma 9 cent. szerokości oszyta jest koroneczką szarą 1 cent. szeroką i zakończona w górze 1 i pół cent. szerokim nagłówkiem. Kieszonka wisząca z boku, liczy 16 cent. długości, 12



N. 9. Zakończenie brzegów woalika ryc. 8. Wywodzenie na tiulu pelą i perełkami.

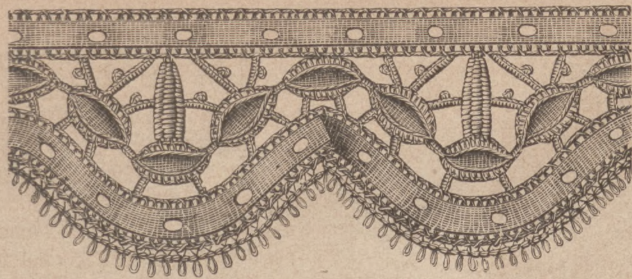


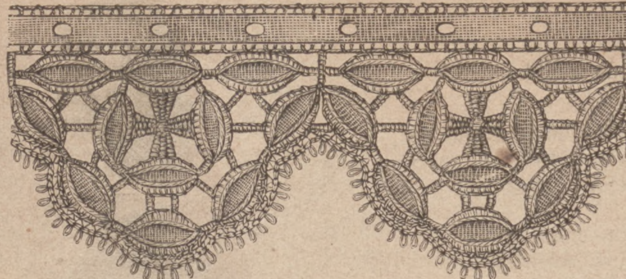
N. 7. Lambrekina do okna. Mozajka z sukna. Deseń wyszycia w dodatku fig. 93.



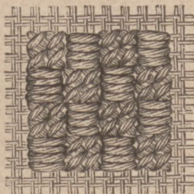
N. 10. Zakończenie woalika. Wywodzenie na tiulu pelą i perełkami.

cent. górnej 16 dolnej szerokości; klapka zwierzchnia w środku 7, z brzegów 4 cent. szeroka, kraje się w jednym ciągu ze spodem. Do zawieszenia kieszonki służą paski po 24 cent. długie a 3 cent. szerokie; 2 cent. szeroka koronka naszyta środkiem pokrywa je oraz pasek od karoczka, ozdobiony z brzegów 1 cent. szeroką koronką.

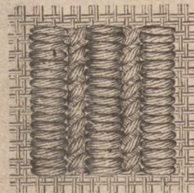

N. 11. Irlandzka koronka z dwojakiego rodzaju tasiemeczek.

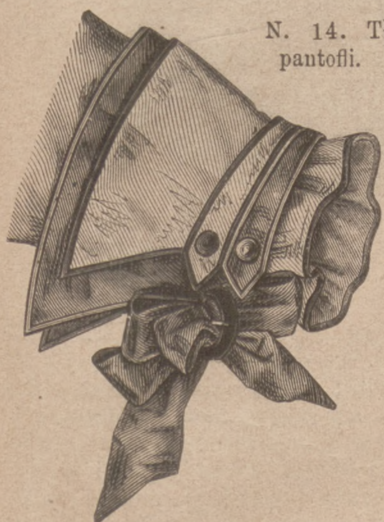

N. 12. Irlandzka koronka z dwojakiej plecioneczki.

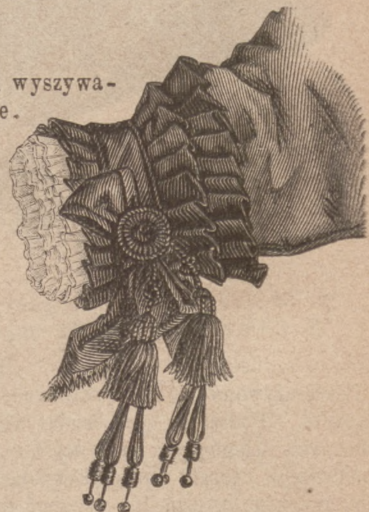
pustka u dołu tiuniki pół cent. szeroka. Tiunika i górna połowa rękawów jest z angory. Przybranie stanowi brązowa, kwaścikowa frendzla i guziki czarne malowane złotem. Tiun ka składa się z przedniego bryta, dopełnionego bocznemi klinami, 70 cent. długiego, 48 szerokiego u góry, a 137 u dołu i z trzech prostych brytów po 66 cent. szerokich a 91 długich; dwa idące z boków zaokrąglone są ku przodowi u dołu na 41 cent. Przedni bryt


N. 14. Tło w kwadraciki do pantofli. Robota na kanwie.


N. 13. Tło wyszywane na kanwie do pantofli, ławeczek i t. p.


N. 15. Tło w prążki wyszywane na kanwie.


N. 16. Rękaw z podwójnym mankietem.


N. 17. Rękaw z plisowanym mankietem i agrafką szmuklerską. Do sukni ryc. 2.

N. 17. Suknia wizytowa z vêtement otwartem z przodu. Krój w dodatku Nr. I. Fig. 1—4. Opis podany był przy ryc. 2 w Nrze 1.

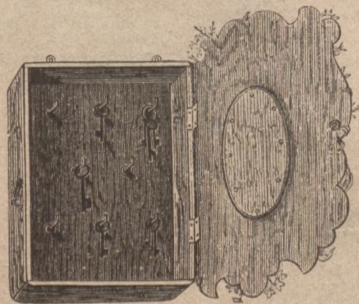
N. 18. Ubranie spacerowe.

Suknia ta odrobiona jest z dwojakiego materjału z ciemno brązowego aksamitu i z jaśniejszego materjału zwanego *angora*. Z aksamitu odszyta jest spódnica, wcinany kaftanik, dolna część rękawów, dodana w kształcie wykładów i wy-


N. 18. Szafka do kluczy ozdobiona skórzanemi kwiatami. Patrz ryc. 19—36. Krój drzwiczek, arabesek i kwiatów w dodatku N. XV, fig. 43—92.

po sfałdowaniu, łączy się z bocznemi; szew przykrywają patki, 10 cent. szerokie u góry, a 20 cent. u dołu. Przy wszyciu tiuniki w pasek, zapinany z tyłu, brzeg górny, prosty zostawia się niewszyty prawie do połowy dwóch bocznych brytów i obejmuje go aksamitem brązowym. Pozostawiona szerokość układa się w kształcie beduinowego kapturka, przyczepiając do paska z tej strony co haczyki, połowę puszczonego materjału. Po zapięciu na haftki, z drugiej pozostałej połowy układa się także sama fałda, która spuszcza się z pod karoczka od kaftanika.

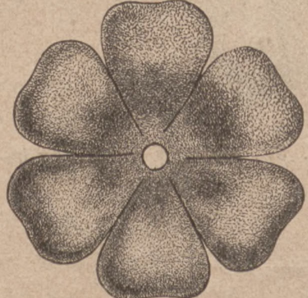

N. 20. Kamelja do ryc. 18. Patrz listki wewnętrzne ryc. 21 i Fig. 58.


N. 19. Szafeczka do kluczy ozdobiona skórzanemi kwiatkami. Otwarta. Patrz ryc. 18—36.


N. 22. Gałązka polnej róży do ryc. 18. Patrz ryc. 23.


N. 24. Pączek różany. Patrz fig. 59—62.


N. 33. Pączek powoju do ryc. 18. Patrz fig. 54.


N. 23. Listek do polnej róży ryc. 22.


N. 26. Aster do ryc. 18.

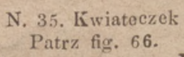

N. 27. Dzwonek do ryc. 18. Patrz fig. 56.


N. 25. Jaskier do ryc. 18. Patrz fig. 64.

N. 21. Środek kamelji do ryc. 20.


N. 34. Gałązka mirtu.

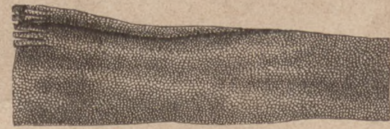

N. 31. Środeczek do powoju ryc. 30.


N. 35. Kwiateczek Patrz fig. 66.


N. 29. Pojedyncza jagódka do ryc. 28.


N. 28 Gałązka jagód do ryc. 18


N. 36. Rozdzielony pasek skóry.


N. 32. Nacięcie i zwijanie środeczka do powoju ryc. 31.


N. 30. Powój do ryc. 18.

N. **19.** **Szlaczek** do woalika.

Brzeg ten oszyty tkanemi wełnianemi pikotami i perełkami, odpowiedni jest do woalika ryc. 8 w N. 1 oraz do chusteczek, berty i t. p.

N. **20**—**21**. **Sukienka** dla chłopczyka.

Krój i opis w dodatku.



N. 37. Okrągły kapelusz filcowy.



N. 40. Suknia wizytowa haftowana.

N. **22**—**27**. **Szydełkowa sakiewka.**

Długie szydełkowe sakiewki, mimo portmonetek, ciągle są używane i często bardzo rozdawane jako podarunki. Podajemy nowy wzór sakiewki i kilku odmiennych ściegów szydełkowych. Zakończenie obu brzegów prosto lub jednego końca prosto a drugiego okrągło, zależy od upodobania. Kordonki dobierać trzeba w modnych kolorach jak rezedowym, oliwkowym, pawim i t. p. Sakiewkę odrobioną w jednym kolorze, ozdabia się w jednym lub w obu końcach szlaczkiem kolorowym; jeden taki szlaczek z oznaczeniem kolorów podaje ryc. 27; odpowiednio do tła sakiewki kolory te można odmieniać. Sakiewka przedstawiona na ryc. 22, zaczęta od prostego końca na 88 o., zamknięta dwiema obrączkami, odrabia się w kółko aż do środkowego rozporka, licząc 50 rzędów w górę; wzór roboty tła w gwiazdki podaje ryc. 25. Dwa rzędy robią się gładko śc. o., przy trzecim rzędzie przerabia się deseń; przy zaczęciu tylko potrzeba odrobić 3 rzędy. * Po 6 o. gł. w trzecim rzędzie deseniowym, przerabia się 1 o. śc., zajęte w następne o. poprzedzającego rzędu, jak to ryc. 25 objaśnia; dalej, jeszcze o jeden rząd głębiej, przeciąga się pętelkę znów w następne o. i przerabiają 1 o. powietrznem. Trzecia pętelka przewłóczy się jeszcze o. 1 rząd głębiej i ob. 1 o. dalej i zrabia wraz z dwoma poprzednio na szydełku zatrzymanemi 1 o. powietrznem. Przerobiwszy jeden rząd, powtórzyć od *.



N. 38. Kapelusz z miękkiego filcu.

Dalszy ciąg w N. 2-gim.



N. 41. Kaftanikowy stanik z kamizelką.



N. 39. Okrągły aksamitny kapelusz.



N. 42. Suknia ze stanikiem z baskiną. Plecy do ryc. 1.

Do N. 1-go i 2-go dołącza się arkusz z krojami i dodatek z opisami.